

✓  
„ORZEŁ BIAŁY”  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Juin 1970

Price 4/-

Cena 4/-

§ 0.50; 2.70 F.



# SYRENA

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

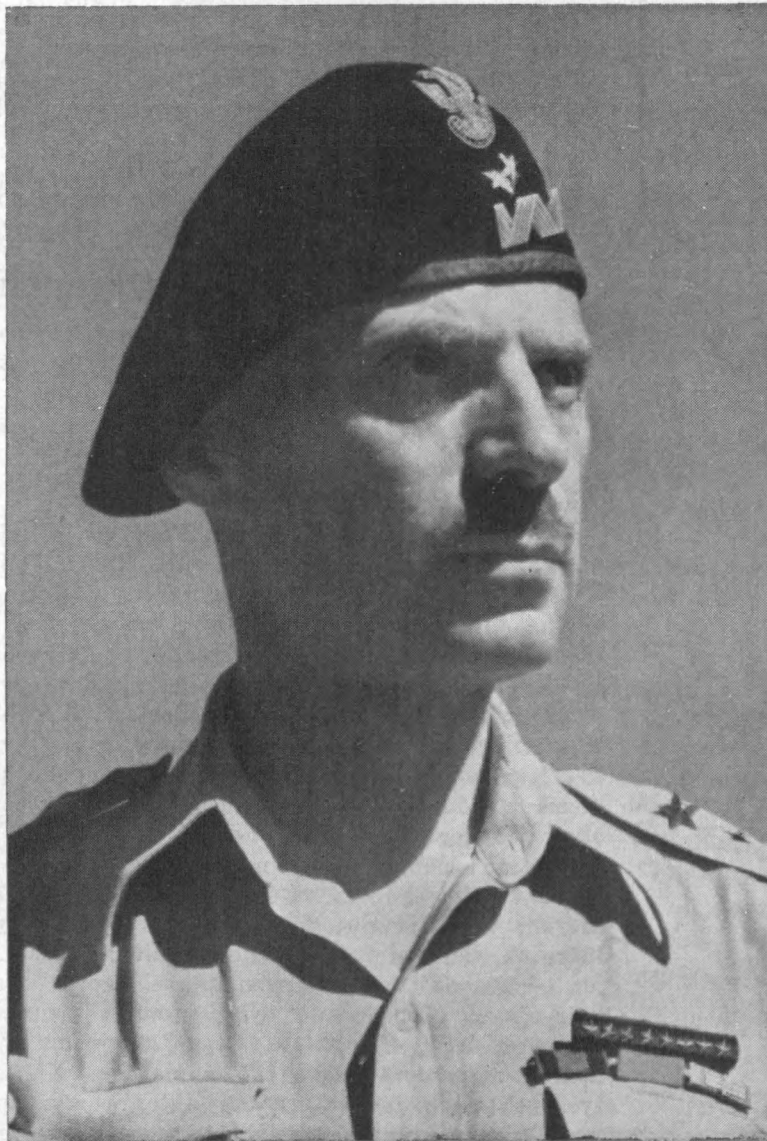
ORZEŁ BIAŁY

CZERWIEC

1970

Nr 71/1218

BD.LC



Generał Broni WŁADYSŁAW ANDERS

11. VIII. 1892 — 12. V. 1970

żołnierz Kampanii Wrześniowej — Więzień sowiecki  
Zwycięzca spod Monte Cassino — Wódz Polski Walczącej

FP 2156

## DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową  
gen. Władysława Andersa,  
pod redakcją  
plk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.  
Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



Zbliża się trzydziestoletnia rocznica zorganizowania Dywizji naszej na terenie Francji i skierowania jej na front w rejonie Belfort. Tam miała ona wykazać swoją wartość organizacyjną i bojową, a zarazem otrzymać chrzest bojowy.

Żołnierz w tym czasie nie był jeszcze w pełni wyszkolony, z brakiem materiałowym, ale zdyscyplinowany i rozumiejący, o co należy się bić na obczyźnie. Dowódcy na każdym szczeblu byli pewni swych żołnierzy.

Krótki okres walk w rejonie Maiche-Damprichard-Montbeliard wykazał szybko, że 2 D.S.P. mogła stawiać zacięty opór, odrzucając natarcia broni pancernej jednostek niemieckich.

Dywizja wypełniła nakazane zadanie, po czym — na rozkaz gen. Sikorskiego — przekroczyła granicę szwajcarską.

Pamiętając ten bojowy okres Dywizji, wspominać należy ogrom pracy na terenie Szwajcarii w zakresie wychowania żołnierza, szkolenia wojskowego i kształcenia młodzieży.

Z myślą o tym okresie istnienia 2 D.S.P. i jej walorach — pamiętajmy o tych, którzy poświęcili swe życie dla sprawy polskiej, a których uczymy 21 czerwca 1970 r. na polach walk w Damprichard, odsłaniając pomnik ku czci poległych.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Czerwiec 1970.

.Gen. Stanisław Pelc

### W NUMERZE :

<i>S. Benedykt</i> : W żołnierskim hołdzie	1
<i>K. Sabbat</i> : Przywódca emigracji niepodległościowej	3
<i>M. Tomkiewicz</i> : Milcząca większość „na widelcu“	6
<i>K. Brzozowska</i> : Czy Niemcy mogą się zmienić?	9
<i>M. Wyrwicz</i> : Walka o rząd dusz	10
<i>J. Drobnik</i> : Literatura polska w Niemczech	13
<i>W. Opolski</i> : Żurek i butelki	14
<i>F. Goldschlag</i> : Rozważania nad pamięcią	16
<i>F. Chrzanowski</i> : Kalejdoskop włoski Na święto morza	18 20
<i>Z. Grabowski</i> : Americana	22
<i>Cz. Dobek</i> : Wizerunek poetycki Tadeusza Sułkowskiego	23
<i>Kage</i> : Przegląd spraw wojskowych	25
<i>J. Ostrowski</i> : Balet pantomimiczny Henryka Tomaszewskiego	26
Z życia polskiego	28
<i>J. Ostr.</i> : Notatnik kulturalny	30
<i>A. Stambrowski</i> : Grydzewski i jego „Wiadomości“	33
<i>H. Żurkowska</i> : Niech połknie swój język kto mówi, że stary	34
<i>S. Legeżyński</i> : Czyśmy się widzieli?	36
<i>K.E.</i> : Przeważnie dla Pań	37
<i>W. Stefański</i> : Przesada z tą wiosną	38

### U C H W A Ł A

Komitet Organizacyjny Zjazdu Polek w Wielkiej Brytanii składa serdeczne podziękowanie rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, polskiej sekcji B.B.C. oraz pismom: „Dziennik Polski“, „Gazeta Niedzielną“, „Głos Kobiet“, „Jutro Polski“, „Kultura“, „Merkuriusz Polski“, „Nowy Świat“, „Orzeł Biały“, „Przegląd Powszechny“, „Rzeczpospolita Polska“, „Tydzień Polski“ i „Wiadomości“ za okazane zjazdowi życzliwość i poparcie, a to przez szerokie uwzględnienie wiadomości o zwołaniu zjazdu, sprawozdań z przebiegu obrad, uchwał, referatów, listów krytycznych i pochwalnych. Bez tego poparcia prasy polskiej na obczyźnie, pozytywne wyniki i osiągnięcia zjazdu nie mogłyby być udostępnione szerokim rzeszom społeczeństwa polskiego.

W tej zgodnie pozytywnej postawie prasy polskiej, jedyny wyjątek stanowi „Myśl Polska“, która w numerze z dn. 15 kwietnia br. zamieściła artykuł pt. „Uwagi o zjeździe Polek“, napisany przez osobę czy osoby, które najwidoczniej w zjeździe udziału nie brały. Zawiera on obraz zjazdu nie odpowiadający faktycznemu przebiegowi obrad; polemizuje z faktami, których na zjeździe nie było; wysuwa nieuzasadnione zarzuty, mające przynieść ujmę Komitetowi Organizacyjnemu zjazdu czy też poszczególnym działaczkom, związanym ze zjazdem. Nie wdając się w ocenę politycznych poglądów autora czy autorów wymienionego artykułu, ani też wymienionego czasopisma, Komitet uważa, że artykuł ten nie jest wyrazem, bardzo zresztą pożądanym, rzeczowej krytyki w stosunku do zjazdu, lecz wyrazem złej woli.

Zjazd nasz odbywał się pod hasłem „Służymy sprawie polskiej“, artykuł „Myśli Polskiej“ dotyczący zjazdu Polek sprawie tej pożytku nie przynosi. Jesteśmy zmuszone wyrazić z tego powodu żal i ubolewanie.

Prezydium

Komitetu Organizacyjnego Zjazdu

**ŻAŁOBNY WERBEL** — ten ostatni akord żegnający odchodzącego Wodza — rozlega się dziś po całym wolnym świecie, gdzie osiedli żołnierze polscy, żołnierze Andersa, chwilowo — nie mogąc wrócić do Kraju, do Polski, o wolność której walczyli pod Jego dowództwem.

Żałobny werbel, długi, nieustający, to odgłos żalu okrutnego i serdecznego w sercach żołnierzy, żołnierzy trzech pokoleń, którzy służyli pod Jego rozkazami od chwili, gdy jako młody oficer kawalerii rozpoczął przed przeszło pół wiekiem, jeszcze na obczyźnie a już w drodze do odradzającej się Polski — służbę wojenną w sławnym, bojowym pułku ułanów Krechowickich.

Daleka była i niełatwa droga z Mińszczyzny przez Warszawę do Poznania, który należało dopiero oswobodzić w zrywie powstańczym i przyłączyć do niepodległego państwa.

Władysław Anders, jeden z najmłodszych podówczas oficerów sztabowych i sztabu generalnego jest wśród uczestników tej pracy wojennej i wojskowej, która wyzwala prastarą dzielnicę piastowską i daje odradzającemu się w walkach państwu znakomitego żołnierza wielkopolskiego.

Pierwsza dywizja poznańska, późniejsza słynna ze swych zwycięstw, ze swej sprawności bojowej 14-ta dywizja wojsk polskich zaliczona zostanie w wojnie polsko-bolszewickiej do elitarnych jednostek.

Wszystkie pułki tej dywizji otrzymują na swych sztandarach odznakę najwyższego męstwa — krzyż orderu *Virtuti Militari*. Jedyna to również dywizja, mająca w swym składzie własny pułk kawalerii — słynny później 15 pułk ułanów poznańskich.

Pierwszym dowódcą pułku tego — który wchodzi zaszczytnie do 5-ciu najlepszych pułków jazdy, mianowanych przez Józefa Piłsudskiego kawalerami tego najwyższego orderu wojskowego — zostaje dwudziestoparoletni podpułkownik Władysław Anders.

Pod jego dowództwem — aż do chwili, gdy ciężko ranny odejdzie



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
**MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM**

Nr 71/1218

CZERWIEC, 1970

Rok XXX

**STEFAN BENEDYKT**

## W ŻOŁNIERSKIM HOŁDZIE

z pola walki, pułk ten walczy w składzie swej dywizji, jedyny pułk jazdy działający i walczący wspólnie z piechotą w wojnie lat 1919-1920.

Dla wyróżnionego już za osobistą odwagę dowódcy pułku był na pewno niezapomnianym wydarzeniem — dzień 22 kwietnia 1921 roku, gdy Naczelnik Państwa odwiedzając Poznań i znów złączone z macierzą Wielkie Księstwo Poznańskie, na wielkiej rewii wojskowej przypiął na sztandarze pułku wstęgę wojennego orderu *Virtuti Militari*

Odpowiadając na przemówienie płk. Andersa, na bankiecie w „Bazarze“ poznańskim Marszałek w tych słowach wyróżnił postawę pułku, przez niego w czasie wojny dowodzonego:

„Tam gdzie byliście, byliście doskonali i historia lwia część zwycięstw wam przypisać musi. W tej dziedzinie jesteście najlepszym pułkiem, jaki znam, mówię to wam szczerze i otwarcie. Toteż, gdy przyszło mi mówić o jednostkach, na których przyszłość jazdy polskiej oprzeć się może, zatrzymałem się na 15. pułku ułanów bez wahania“.

Taki był start w służbie żołnierskiej Rzeczypospolitej Władysława Andersa — takie były pierwsze zapisy w książce Jego polskiej służby wojskowej. Szef sztabu armii poznańskiej, organizator i pierwszy dowódca pułku jazdy wojsk wielkopolskich.

Napoleońskie określenie, że każdy żołnierz nosi w swym tornistrze

buławę — jest słuszne, ale powiedziane zostało zapewne z myślą o tych, którzy w pracy wojennej zarówno wybijają się jak i stale nad sobą pracują.

Pułkownik Anders zaliczony został już wtedy do grupy wybranych, przewidzianych na wyższe stanowiska dowódcze; wysłany zostaje do Paryża na studia w Ecole de Guerre Superieure — słynnej francuskiej najwyższej uczelni wojennej, którą ukończył w 1923 roku.

W trudnych chwilach przełomu majowego — trudnych dla wszystkich żołnierzy — jest po stronie przeciwnej marszałkowi Piłsudskiemu.

Wkrótce potem zostaje dowódcą brygad kawalerii, kolejno 3-ech, w Równem, następnie w Brodach i Baranowiczach.

Jako dowódca brygady otrzymuje szlify generalskie, zapewne znów jako jeden z najmłodszych.

Jest uczestnikiem gier wojennych prowadzonych przez marszałka Piłsudskiego, który — jak zapamiętali to i zanotowali „świadkowie historii“ — powiedział do pracujących z nim oficerów: „Zobaczycie, że czeka go jeszcze wielka przyszłość“.

Nie pomylił się Wielki Marszałek w swej — jakże proroczej — ocenie.

Wychowani i przygotowani przez generała Andersa ułani — drugie już pokolenie żołnierzy, służących pod jego rozkazami stają do największej i najtrudniejszej, choć nie

zwycięskiej rozprawy w naszej samotnej kampanii wrześnieowej.

Jemu przypada honor walki z obu przeciwnikami — niemieckimi zagonami pancernymi Hitlera i ich sojusznikami — wojskami sowieckimi, gdy na czele grupy kawalerii usiłuje przebić się przez otaczający pierścień wojsk — na Węgry. Ciężko ranny zostaje przewieziony do szpitala wojskowego we Lwowie.

Na tym zamyka się i kończy drugi rozdział służby wojennej gen. Andersa, piękny i zaszczytny znów zapis w karcie Jego służby wojennej.

Złoty Krzyż *Virtuti Militari* otrzymuje za tę pracę wojenną później, gdy los łaskawy przywróci mu znów wolność.

Niewyleczony, jeszcze o kulach zostaje aresztowany przez NKWD, wywieziony i osadzony w oślawionej Lubiance w Moskwie. To najgorsze i najcięższe przeżycia generała, w więzieniu, śledztwie, 7 miesięcy w izolacie.

Tam zastaje go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, gdy przeznaczenie i trafnie ocenione Jego walory, wraz z odzyskaną wolnością w Jego ręce oddają dowództwo wojska polskiego w Rosji.

Nowy, zupełnie odmienny rozdział służby dla Polski.

Wspaniała i zaszczytna karta pracy na wysokim szczeblu samodzielnym, gdy z więźniów i niewolników, po okrutnych przejściach w obozach, więzieniach i na zesłaniu stworzył nowe wojsko, nowe dywizje i oddziały, które przejść muszą jeszcze przez Iran, pustynię w Iraku, Palestynę, by jako świetnie wyszkoleny i dobrze uzbrojony Korpus stanąć na ziemi włoskiej.

Napisano o tym wojsku wiele, bo też niezwykle były dzieje jego i przygody, może jednak najwnikliwiej opisał to sam w swej książce, zatytułowanej „Bez ostatniego rozdziału“.

Wyprowadzenie tych schorowanych żołnierzy i nowych ochotników z beznadziejności sowiecko-rosyjskiej i stworzenie z nich po stronie walczących aliantów znakomitych, wspaniale się prezentujących jednostek, które stoczą w kampanii

na ziemi włoskiej szereg zwycięskich bitew jest Jego wyłączną zasługą, Jego i ludzi, oddanych mu sercem i duszą i przez Niego dobieganych.

Rzucone przez generała hasło-wołanie „**Odrzućmy wszystko co nas dzieli, a bierzmy wszystko, co nas łączy**“ — staje się przewodnią wytyczną tej wielkiej pracy, której ukoronowaniem była zwycięska bitwa o Monte Cassino. Jakże odmienne od powrześnieowych i niewczesnych porachunków, jakże słuszne i konieczne w tak trudnej sytuacji sprawy polskiej.

Tę wielką bitwę, która rozśławi w wojennych komunikatach i w bezstronnie ujętej historii na zawsze imię Polskiej Walczącej — wygrał i doprowadził do zwycięskiego zakończenia Władysław Anders.

Pod Jego rozkazami walczyli żołnierze wrześnie i wśród nich Jego dawni żołnierze, walczyli nowi ochotnicy, młodzi i zaledwie dorastający. To trzecie pokolenie żołnierskie, znane nam wszystkim osobiście ze służby, czy choćby z tysięcy zdjęć i filmów.

Piękne i dziarskie, wspaniałe i ofiarne wojsko, w beretach różnych kolorów, ale z jednakowym zapałem w sercach.

Wojsko, które zdobyło swym krwawym wysiłkiem tę niezwykłą dotąd redutę — opactwo benedyktynów na Monte Cassino i piękną, prostą piosenką żołnierską przekazało swój bojowy wyczyn Polsce — na zawsze.

Jak ongiś Henryk Dąbrowski — pragnął generał Anders doprowadzić swych żołnierzy z ziemi włoskiej do Polski. Może należałoby tu bardziej szczegółowo opisać tę drogę bojową żołnierzy, która miała ich doprowadzić do podbitej jeszcze i walczącej w podziemiu ojczyzny, drogę której kamieniami milowymi są Ankona i Bolonia. Wystarczy wspomnieć tylko — prawdę tej pracy wojennej podkreśla nie tylko historia i wspomnienia uczestników — mówią o niej żołnierskie emmentarze, ten u stóp klasztoru, w Loreto, w Casa Massima, w Bolonii.

Tędy szedł w bojach żołnierz polski, tędy w walkach i trudzie wo-

jennym prowadzi szlak II. Korpusu generała Władysława Andersa.

Wielki szlak bitewny, szlak trudów i znojów, który związał na zawsze serca żołnierzy z ich wodzem.

Zły los i tragiczna, obłudna i zła polityka sojuszników, gdy znalazła się wśród nich sowiecka Rosja nie dały żołnierzom, gdziekolwiek walczyli tej jedynej nagrody — i spełnienia celu, o który walkę rozpoczęli i przez lata ofiarnie prowadzili.

Zakończenie wojny przed ćwierćwieczem nie doprowadziło ich do wolnej i niezależnej ojczyzny.

Pozostali wolnymi — poza własnym krajem.

Mała Ankona, gdzie znalazła się powojenna kwatery główna generała Andersa — zastąpić im musi chwilowo stolicę, której godło Syrena naszyta na naramiennikach żołnierskich mówiło i przypominało prawdę o nieosiągniętym celu ich walki.

Gdziekolwiek się następnie rozeszli, gdziekolwiek osiedli — utrzymali łączność ze swoim dowódcą, u niego szukają rady i On podtrzymuje ich na duchu, w trudnych nowych warunkach bytu. Widzą w nim nie tylko swego byłego dowódcę, który wywiódł ich z „niełudzkiej ziemi“ i następnie prowadził do zwycięskich bojów, widzą w Nim swego przywódcę, lidera Wolnej Polski Walczącej.

Mijają szybko lata. Uplywa ćwierć wieku od pamiętnej chwili zdobycia Monte Cassino i dalszych bitew na ziemi włoskiej.

Skrzyknęli się raz jeszcze żołnierze gen. Andersa i z wszystkich stron świata ściągnęli w dniu Święta Żołnierza 15 sierpnia 1969 roku do ziemi włoskiej. Pragnęli w tym dniu, w którym ojcowie ich nad Wisłą odnieśli wiekopomne zwycięstwo nad Rosją sowiecką, w pamiętnym roku 1920-ym móc znów wspomnieć swoje własne dzieje i związać z nimi mocno następne pokolenie, swych synów i córki.

Stanęli w zwartych szykach swych kół pułkowych i swych organizacji kombatanckich żołnierze 2-ich zwycięskich bitew — bitwy decydującej, która w 1920 roku utrwaliła wolność Polski i świata i bitwy, która w niemal ćwierć wieku później,

# PRYWÓDCA EMIGRACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

**G**ENERAŁ WŁADYSŁAW ANDERS zakończył życie w 26-tą rocznicę rozpoczęcia natarcia na Monte Cassino. Los wybrał dla niego ten właśnie dzień, kiedy myśli Polaków skierowane są ku górze klasztornej, gdzie u stóp cmentarza żołnierzy polskich widnieje krzyż *Virtuti Militari* i napis „Przechodniu powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w Jej Służbie“, w tym samym dniu zmarł 36 lat temu Józef Piłsudski.

Los był życzliwy dla Generała. Tylekroć ranny, przeżył cało niebezpieczeństwa I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej. Przetrwiał więzienie na Lubiance, przeżył kampanię włoską i dożył późnego wieku, otoczony szacunkiem i sentymentem, w pełni sił umysłowych i do ostatniego nieomal roku w pełni sił fizycznych, do końca na stanowisku przewodcy. Los był życzliwy i dla

nas, emigracji bo nie poskąpił nam przewodcy. Jego stanowisko i Jego działalność, dla szerokiego grona żołnierskiego określały zadania i program. Gdyby Jego autorytetu zabrakło znacznie trudniejszą byłaby droga emigracji politycznej. Nikt generała Andersa nie zastąpi.

Miał on niewątpliwie prawo na White City czy w Royal Albert Hall pozdrowić tysiące ludzi hasłem „Czołem, żołnierze!“ Odpowiedź tysięcy głosów „Czołem, Panie Generale“ nawiązywała szczególną nić zrozumienia i zaufania. Ale na to trzeba było mieć za sobą utworzenie Armii Polskiej w Rosji, uratowanie ze Związku Sowieckiego tysięcy ludzi, rodzin żołnierskich, kobiet i dzieci oraz legendę zwycięskiej bitwy o Monte Cassino.

Generał Anders reprezentował, głosił i realizował program emigracji politycznej — program wolności i niepodległości Polski. Był tego

programu najwybitniejszym rzecznikiem. Takich, którzy odrzucają bez wahania myśl o jakimkolwiek kompromisie z narzuconym Polsce reżymem i z narzuconą Polsce rzeczywistością polityczną, którzy głoszą pełny program niepodległościowy, nazywa się ironicznie „niezłomnymi“. Gen. Anders był takim „niezłomnym“ emigrantem, był sztandarową ich postacią. W tym właśnie mieści się i wyraża jego rola polityczna na emigracji. Po upływie 26 lat od zakończenia działań wojennych, emigracja, jako całość, zachowała jednolitą postawę niepodległościową. Nie pogodziła się z rzeczywistością w Polsce i nie zaakceptowała obecnego stanu rzeczy. Przeciwwstawia się uzależnieniu Polski i naszych sąsiadów od Rosji, oraz podporządkowaniu tych krajów interesom sowieckiego imperializmu. Odrzuca komunistyczny system polityczny i gospodarczy. Przypomina wolnemu światu o naszym prawie do wolności, oraz wykazuje, że bez przywrócenia i zagwarantowania wolności Polsce i jej sąsiadom nie będzie trwałego pokoju w Europie, a więc i w świecie. Wszystko to głosił generał Anders. Nie szczędził wysiłku w swej pracy. Odwiedzał ośrodki polskie w Anglii i poza Anglią, przemawiał, występował na zewnątrz. W szczególności w Anglii był powszechnie znany. Nie lubił odmawiać udziału w zebraniach i w uroczystościach, szczególnie żołnierskich. Miał dar przemawiania jasno i przekonywająco. Na przestrzeni 26 lat emigracji znajdujemy wiele jego wypowiedzi politycznych przy licznych okazjach świąt narodowych, zjazdów, uroczystości. Przez biuro jego przechodziły wszystkie ważne sprawy polskie. Wypowiedzi, uchwały oraz oświadczeń niepodległościowych nie brak jest na emigracji. Autorytet Generała wzmacniał je, nadawał im powagę i głębię, przyczyniał się do

## W ŻOŁNIERSKIM HOŁDZIE

w maju 1944 roku otwarła drogę do Wiecznego Miasta i przez Italię do serca Europy. — Która prowadziła „z ziemi włoskiej do polskiej“.

W rocznicę tych zwycięstw, które weszły do dziejów naszych a są również drogowskazem i nadzieją na naszą przyszłość — młodzież polska przybyła tu z całego świata.

Harcerze polscy — żołnierze przyszłej Wolnej Polski.

Generał broni Władysław Anders mimo trudów podróży przy nadwątłonym już zdrowiu przybył tu wraz ze swymi żołnierzami i tymi, którzy służbę, tradycję i wierność sztandarom mają objąć. Jakby milczący nakaz, ostatnia Jego wola: — tu chcę spocząć, gdy Stwórca odwoła mnie spośród żyjących.

— Ostatnia jakby rewia, ostatnia zbiórka — przed Wodzem.

Jego przemówienia słuchają z

przejęciem i ci dawni i ci przyszli żołnierze.

I ostatni raport, który odbiera od tych najmłodszych: „Młodzież polska na obczyźnie jest gotowa do służby Bogu i Polsce“.

Gdy dziś pochyliły się zwycięskie nasze sztandary nad grobem generała Władysława Andersa — który dołączył do swych żołnierzy na montecassińskim sanktuarium — oddały Mu ostatni hołd wojskowy w imieniu tych, którymi dowodził, w imieniu tych, którzy wielką tradycję i obowiązki z nią związane przejęli.

Ten ostatni żołnierski salut, mówi:

Panie Generale, dziś w tej najsmutniejszej chwili rozstania myślą i sercem są z Tobą — w żołnierskim hołdzie — Twoi żołnierze-Kombatanci.

Stefan Benedykt

jednolitości i zwartości politycznej emigracji. Rola polityczna generała Andersa to utrzymanie wyraźnego, jednolitego i bezkompromisowego oblicza politycznego emigracji.

Wielką rolę odgrywał Generał w naszej działalności na odcinku międzynarodowym, był postacią znaną i szanowaną w kołach międzynarodowych. Łączyły Go osobiste stosunki z okresu działań wojennych z szeregiem wybitnych osobistości. Utrzymywał np. kontakt z Eisenhowerem, z gen. de Gaulle, z Macmillanem, z marsz. Alexandrem. Emigrantów na ogół traktuje się niechętnie. Nasza działalność międzynarodowa odbywa się w trudnych warunkach. Dlatego też waga kontaktów osobistych na najwyższych szczeblach ma szczególne znaczenie.

Przedmiotem specjalnego zainteresowania Generała był Skarb Narodowy. Był on Prezesem Głównej Komisji Skarbu Narodowego od początku istnienia Skarbu aż do zgonu. Hasło posiadania własnych podstaw finansowych, zapewniających z jednej strony trwałość polskiej działalności politycznej, a z drugiej jej niezależność było częstym akcentem Jego wystąpień. Temat Skarbu Narodowego nieraz powracał w Jego przemówieniach. W stosunkach emigracyjnych widzimy czasem chęć przemilczenia Skarbu nawet u ludzi życzliwych tej sprawie. Nie czynił tego Generał.

Rozumiał i doceniał wagę zorganizowanego życia społecznego. Z natury rzeczy związany był blisko z kołami oddziałowymi i organizacjami kombatanckimi, w szczególności ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów, w których widział spadkobierców i kontynuatorów niezakończonych zadań żołnierza polskiego. Był prezesem Rady Polskiej Macierzy Szkolnej. Szczególną opieką i sentymentem otaczał harcerstwo. Przed zlotem harcerskim na Monte Cassino, w ubiegłym roku, mówił: „Jednego tylko pragnę, aby móc pojechać na Monte Cassino, aby Harcerstwu przekazać sztandary wojskowe — a potem ... wola Boża“.

Od 1954 roku był gen. Anders członkiem Rady Trzech, a więc naj-

wyższego organu Zjednoczenia. Był w niej „primus inter pares“, bo chociaż nie ma w Radzie przewodnictwa, Jego pierwsze miejsce było oczywiste. Członkowstwo Rady Trzech było jednak tylko stwierdzeniem i ubraniem w szatę formalną faktu, że był On przywódcą emigracji politycznej. Był zaś nim z racji swej osobowości, swej postawy, swych wartości i umiejętności, z racji swych dokonań w służbie Polsce, oraz z racji zaufania i poparcia, jakie mu dawali i byli żołnierze i przedstawiciele życia politycznego.

Jako przewodca polityczny nie dążył do „jedynowładztwa“. Rada Trzech jest organem kolegiальnym. Generał Anders umiał dzielić autorytet władzy z innymi. Dzielił go z wybitnym przywódcą socjalistycznym Tomaszem Arciszewskim, byłym premierem Rządu, który położył fundamenty emigracji niepodległościowej. Dzielił go z byłym Dowódcą Armii Krajowej gen. Bórkomorowskim, dzielił go z amb. Raczyńskim, wybitnym dyplomatą i seniorem polskiej służby zagranicznej. Ta umiejętność kolegiальności, dzielenia się autorytetem władzy jest rzeczą niełatwą. Tym bardziej jest ona rzeczą znamiennej u generała, a więc człowieka nawykłego do trybu rozkazodawczego i do podejmowania decyzji jednostkowej.

W życiu wewnątrz-politycznym do roku 1954 udziału nie brał, chociaż uczestniczył w wielkich wydarzeniach politycznych. W wypadkach majowych w 1926 roku brał udział jako żołnierz, a nie jako polityk. Armia Polska w Rosji była wprawdzie nie tylko czynnikiem wojskowym, ale także politycznym wielkiej wagi, a dla Sowietów przede wszystkim politycznym. Wojsko Polskie we Włoszech było, jak to świadczy przebieg kampanii, świetnym instrumentem wojskowym, ale także „Małą Polską“, prowadzącą szeroką działalność opiekuńczą, oświatową, kulturalną i polityczną. Była to jednak działalność narodowa, a nie związana z jakimś jednym kierunkiem politycznym. Nie był Generał ani wówczas ani potem związany z żadnym stronnictwem. Rozumiał i doceniał potrzebę, rolę

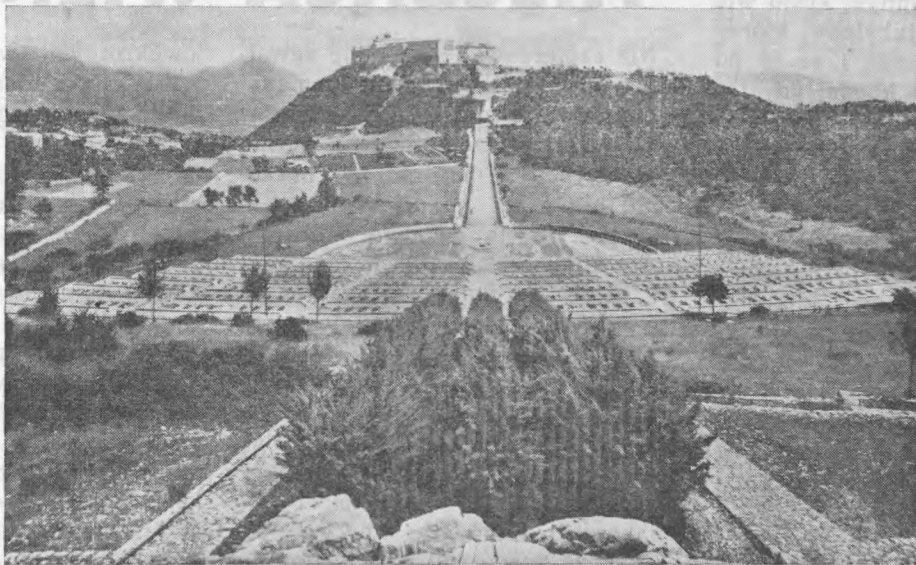
i wagę stronnictw politycznych i starał się zachować jednakową życzliwość dla wszystkich. Rozwój wydarzeń wewnętrznych postawił Go w 1954 roku na czele Zjednoczenia Narodowego. Na tym stanowisku dokładał starań, aby łagodzić wewnętrzne emigracyjne konflikty. Oświadczał kilkakrotnie, że jego osoba „nie będzie przeszkodą do zjednoczenia“. O urząd nie zabiegał. Nie dane mu było doprowadzić lub doczekać się pełnej zgody na emigracji. Ideał takiej zgody jest nadzwyczaj trudny do osiągnięcia przy braku normalnych rygorów. Wszystkie próby zawarcia zgody politycznej były przez Niego popierane.

Ułatwiały mu działalność polityczną cechy jego charakteru i umysłu, które wyraźnie się w tej pracy rysowały. Cele nasze widział jasno i wyraźnie. Nie gubił się w wątpliwościach. Umiał szybko pobierać decyzje. Koncentrował się na sprawach ważnych i ogólnych, szczególnie natomiast pozostawiał odpowiednim czynnikiem. Miał naturę otwartą i szczerą. Nie żywił urazów do ludzi, był życzliwy i przyjazny. Miał urok osobisty, którym wiązał i zjednywał ludzi. Było z nim łatwo współpracować. Jako przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia miałem szczęście być z Generałem w bliskiej współpracy przez okres ostatnich trzech lat. Pozostaną one dla mnie na zawsze pamiętne. Miałem szczęście współdziałać z wielkim i dobrym człowiekiem.

Żał po śmierci Generała jest powszechny. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ten zgon tak głęboko nas dotknie. Nie wiemy co przyniesie jutro. Wiemy natomiast, że będzie inne i że będzie trudniejsze. Instykt nakazuje zwrócić szeregów i wzmocnienie wysiłków. Nasza służba i nasza droga do Wolnej Polski trwa nadal. Kładziemy na wieczny spoczynek naszego Dowódcę. Sztandary wojskowe z Jego rąk przejęło młode pokolenie. Po raz ostatni pochylił się one nad Jego grobem na ziemi włoskiej, u stóp klasztoru, gdzie leżą Jego żołnierze, którzy „oddali serce Polsce“.

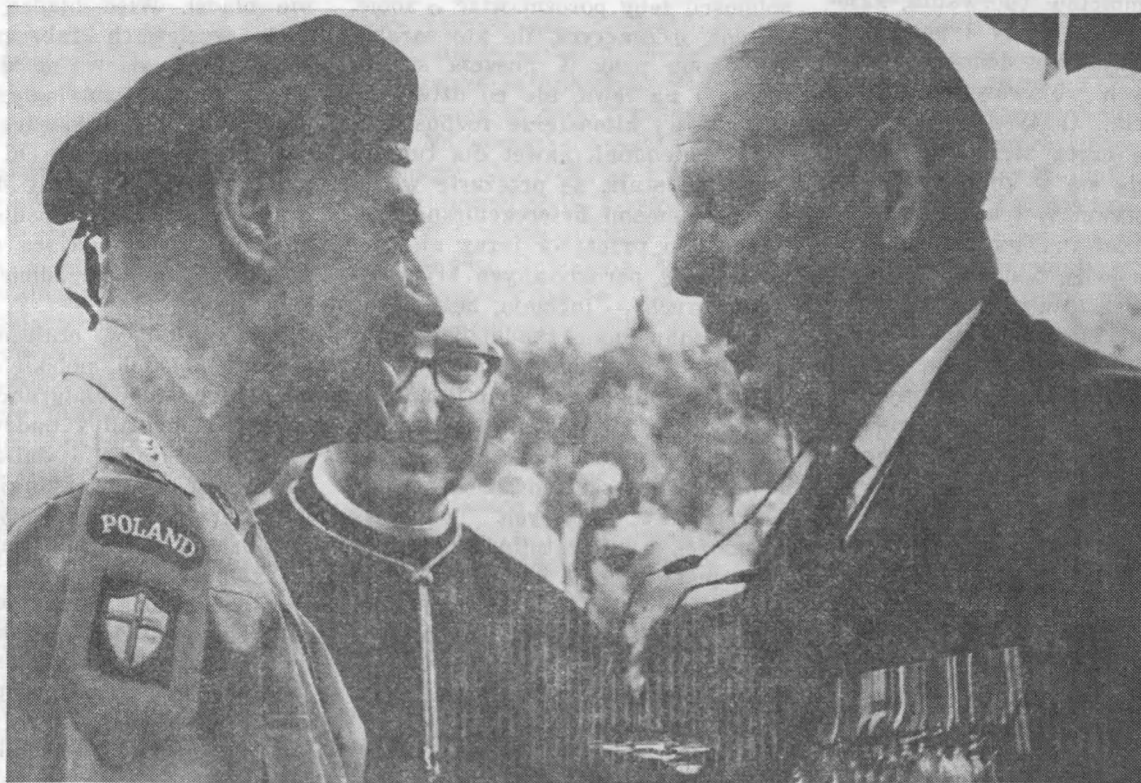
Kazimierz Sabbat

## Tam spoczął wśród swoich żołnierzy



Widok ogólny klasztoru i cmentarza na Monte Cassino

## Ostatnia rozmowa dowódców



Spotkanie Dowódcy 2 Korpusu Gen. Andersa z Dowódcą 8-ej Armii Gen. Sir Oliver Leese  
w 25-tą rocznicę bitwy o Monte Cassino

# MILCZĄCA WIĘKSZOŚĆ

**Z**AWSZE uważałam, że to bezczelność, kiedy turysta, którokolwiek by nim był, po krótkim pobycie w takim czy innym kraju wie wszystko lepiej od tubylców, którzy tam zjedli korzec soli; i że to po prostu głupota albo hucpa, gdy taką gość feruje wyroki w sprawach, których dogłębne poznanie wymaga konsumpcji wielu korców tejże soli. Toteż gdy po moim 6-tygodniowym pobycie w Ameryce londyńscy przyjaciele zadają mi grzecznościowe pytania, co sądzę o tym kilkusetmilionowym kontynencie, odpowiadam uprzejmie, że to samo, co ziarenko piasku sądzi o Saharze, po czym szybko przechodzę na w gruncie rzeczy bardziej ich interesujące tematy, jak oni sami, gdzie i co w ... Londynie. Proszę mi więc wybaczyć, że w tych amerykańskich reportażach nie będę „odkrywać” Ameryki, lecz ograniczę się do podsumowania tego, co tam widziałam, słyszałam, wąchałam i smakowałam, a resztę pozostawię bardziej od siebie kompetentnym.

Jadąc do Stanów bałam się panicznie samolotów (porwania, katastrofy), zatrutej wody i powietrza, mordów, gwałtów, demonstracji i wielu innych objawów amerykańskiego życia. O tylu straszliwościach stale czyta się, takie okropności ogląda się w kinie czy w telewizji, a nawet w teatrach, że byłam przygotowana na najgorsze, i spisywałam jeden testament po drugim, na wszelki wypadek. Szczęśliwie — chociaż może byłam trochę podświadomie rozczarowana, jak ta staruszka, która podczas wojny wyszła na ulicę krzycząc, gdzie tu gwałcą! — wszystkie te okropności były tak samo rozproszkowane w olbrzymim kraju jak, z zachowaniem odpowiednich proporcji, w Anglii i gdzie indziej, i tak jak wszędzie, ich telewizyjne czy gazetowe koncentraty zdarzały się innym a nie mnie. Poza tym, zaczęłam swoją podróż od prowincjonalnego miasta Wilmington w stanie Delaware, które jest jednym z niezliczonych „Peyton Place” w Ameryce, a różni się od innych tego rodzaju miast na świecie tylko może większą ilością samochodów per capita i większymi bogactwami.

Nie zamordowali mnie, nie zgwałcili i nie pobili, nie widziałam ani jednej gwałtownej demonstracji; w New Yorku zaczął mnie tylko jeden pijak, a może to był narkoman, nie wiem, bo uciekłam, i na działam się na jednego Murzyna, który kilka kroków przede mną rzucał cegłę w okno wystawowe na Piątej Alei, na co nikt, dyplomatycznie, nie zareagował, chociaż wypadek zdarzył się w biały dzień. Nawet hippisów widziałam znacznie mniej niż w Londynie, chociaż szukałam ich przez dwa wieczory w Greenwich Village, odpowiedniku naszego Soho plus Chelsea.

Ludzie, z którymi zetknęłam się — biali i czarni i nawet żółci, Amerykanie od pokoleń i całkiem nowi, bogaci i nie tacy bogaci, inteligenci z doktoratami i bez, starzy i młodzi — byli serdeczni, gościnni, chętni do pomocy, gadatliwi, a nawet wylewni, nie pomijali żadnej sposobności, żeby porozmawiać o sobie, o mnie, o Ameryce, ile kto zarabia i że żona pana X puszcza się na prawo i na lewo, ale co dziwnego, w takiej atmosferze rozpusty...

Tym niemniej, nawet dla turysty jasne się staje, że przeżarte wieloma problemami heterogeniczne społeczeństwo przeżywa teraz nie tylko jeden z periodycznych kryzysów finansowych — inflacja, bezrobocie, i inne znane nam skądinąd dolegliwości — ale także kryzys społeczny i psychologiczny. Wydaje mi się, że modlitwę „Boże, nie unieś mnie tak wysoko, żebym nie upadł tak nisko” można zastosować dzisiaj do Amerykanów, których kompleks wyższości, a niewątpliwie mieli taki i pod wieloma względami jest on jeszcze dzisiaj uzasadniony, zamienił się w kompleks niższości, w psychozę strachu i agresji, w poczucie winy lub w bezradną negację dotychczasowych wartości.

Gnębieni wojną w Wietnamie oraz przybierającym na sile buntem Murzynów, biedoty i młodej generacji; uczuleni na opinię świata, która w ciągu ostatnich kilku lat obróciła się tak drastycznie przeciwko nim,

dwukrotnym wybawcom Europy, szermierzom demokracji i indywidualnej wolności oraz wieloletnim dobroczyńcom i kasjerom świata; bardziej czy mniej (jak na nasze stosunki — mniej!) dotknięci kryzysem finansowym stanowiącym rezultat wielu czynników — Amerykanie sprawiają wrażenie, jakby czasowo stracili głowę. Jak wyjęte z wody ryby, rzucają się psychicznie na lotnych piaskach niepewności, wyrzutów sumienia za grzechy popełnione i niepopełnione, przez nich samych i przez ich przodków. Szczególniej młodzież, szczególnie intelektualści, politycy i społecznicy, którzy widzą i czują, że źle się dzieje w państwie amerykańskim, ale jeszcze na to zło nie znaleźli lekarstwa. Szukają więc, gorączkowo, szczerze, z pasją, w sobie i naokoło siebie, eksperymentują, demonstrują, a wiemy przecież, że tylko ten kto nie szuka — nie błądzi. Więc błądzą, w trujących wyziewach fabrycznych dymów, złapani w morderczy potrzask przez technologię, która zaprowadziła ich na księżyc, ale która nie dała im szczęścia. Od której kto może ucieka na łono dobrze już przez człowieka nadpsutej natury, na szybko zaludniane wyspy, pustkowia, czy przedmieścia wielkich miast.

Zgrupowani w etnicznych „gettach”, chińskich, polskich, włoskich czy żydowskich, emigranci z całego świata zdobywali i budowali Amerykę, i budują ją w dalszym ciągu, asymilując się i naginając do nowego kraju w niezwykłym tempie. Już drugie pokolenie jest kompletnie zamerykanizowane i zachowuje pewne poczucie przynależności do „old country” pod naciskiem rodziny i tylko w obrębie własnej grupy etnicznej, na weselach, pogrzebach czy podczas specjalnych uroczystości. Na zewnątrz, specjalnie wobec turystów, Amerykanie są niezwykle lojalni wobec swojej nowej czy starej amerykańskiej ojczyzny, przy każdej sposobności wykazują indoktrynowany od dzieciństwa pa-



# „NA WIDELCU“

triotyzm, którego trochę dziecinny wyrazem są m.in. powiewające na każdym kiosku czy garażu narodowe flagi z gwiazdami czy pasami.

Milcząca większość, „the silent majority“ jest, (czy może była?) niesłychanie dumna ze swojej Ameryki — wszystko, wszędzie jest dla nich najpiękniejsze, największe, najbogatsze, najbardziej demokratyczne. Aż mi się czasem śmiać chciało, gdy w Oak Park czy w Forest Hills, w Wilmington czy w Filadelfii zachwalano mi to czy owo tymi samymi słowami: „największe, jedyne na świecie“. Ten patriotyzm, rozwijający się na tle wielkich swobód indywidualnych i jeszcze wciąż wielkich możliwości wybicia się na takim czy innym polu, sprawia że nieomal wszyscy są aktywnie, z pasją, często gwałtownie zainteresowani i wplątani — involved — w politykę, w filantropię, w obronę praw cywilnych, w religię, w burzenie starych porządków, w wymyślanie nowych czy utrzymanie dawnych, no, jednym słowem, w COŚ, o co gotowi są klócić się, krzyżeć, strzelać, lajdaczyć się.

W dzisiejszym amerykańskim kontekście, kiedy szary człowiek boi się wyjść w nocy na ulicę, kiedy wiadomości o degeneracji seksualnej czy moralnej, często na najwyższych szczeblach, zapełniają szpalty gazet, przechodzą do literatury i do teatru, a brakoróbstwo i nieeficytacja stają się plagą narodową, ten wysrubowany patriotyzm zmienia się u wielu w agresję, w arogancję, w samoobronę i samochwalstwo, mącąc jasny obraz sytuacji. A wielka szkoda! Bo Ameryka to piękny kraj, wielki kraj i niezwykle ciekawy. Bo jeżeli ktoś może nas obronić przed zalewającym nas totalitaryzmem to tylko Ameryka, z jej nieograniczonymi możliwościami, bogactwami i tradycjami, z jej mało stosunkowo obciążonym balastem przeszłości podejściem do spraw techniki, architektury czy nawet sztuki. Wielka szkoda, że Amerykanie, a specjalnie ci u szczytu, tak powoli

uczą się na błędach swojej własnej przeszłości. Kiedy przeglądam karty historii ostatnich 50 lat, stwierdzam z bólem, że cały szereg zapalnych sytuacji na świecie — imperializm rosyjski, Środkowy Wschód czy Chiny — jest pochodną amerykańskich błędów, ich braku politycznej dojrzałości, a może naiwności czy braku wizji; tragicznych błędów, za które pokutują dziesiątki milionów ludzi do dnia dzisiejszego.

Zaznaczam raz jeszcze, że nie uważam się za upoważnioną do generalizacji, a powyższe uwagi to tylko bardzo powierzchowne spostrzeżenia turystki. Bo jak w Londynie czy w Pikutkowie każdy jeden i każda jedna to świat sam w sobie, i im dalej jadę i im więcej widzę tym bardziej upewniam się, że plus que cela change, plus c'est la meme chose.

A teraz przejdźmy do części opisowej. Mieszkałam w Delaware, które szczyli się, że jest „pierwszym państwem w Ameryce“, jako że pierwsze ratyfikowało Federalną Konstytucję w dniu 7 grudnia 1787 roku. Na początku osiedlili się tam Holendrzy, których po roku wyniszczyli Indianie. W pierwszej połowie XVII wieku założyli tam kolonię Szwedzi, i kolonia ta stanowi teraz część miasta Wilmington. Szwedzi niedługo cieszyli się samodzielnością, bo zostali pobici przez Holendrów, którzy osiedlili się w New Castle i po kilku latach zdobyli kontrolę całego terytorium. Po 9 latach Anglicy pobili Holendrów, a po 18 latach William Penn nabył ludzi i tereny, które pozostały we władaniu rodziny jego aż do 1776 roku, kiedy stworzone zostało „państwo“ czyli stan Delaware. Jak dowiadujemy się z prospektów, ten „drugi z kolei najmniejszy stan odegrał wielką rolę w rozwoju Stanów Zjednoczonych. Od Wilmington, Chemicznej Stolicy Świata, do południowego Delaware, serca wielkiego przemysłu, stan ten odzwierciedla przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rozwijającego się

narodu. Znane na całym świecie koncerty jak Du Pont, Chrysler, General Motors, Hercules i inne stanowią część przemysłowego kompleksu stanu, który jest także słynny ze swoich 118 milionów rocznie cudownych kur do grylowania. Delaware jest, co prawda, drugim najmniejszym stanem pod względem przestrzeni (2.057 mil kwadr.) i piątym najmniejszym pod względem ludności (ok. pół miliona), ale szczyli się największymi na głowę dochodami w kraju“. Do tych peanów mogę już tylko dodać, że jest tam dużo starych kolonialnych budynków, piękne parki, kilka muzeów, i że podatki i benzyna są tańsze niż w sąsiednim stanie Pensylwania, wobec czego ludzie z Pensylwanii przyjeżdżają do Delaware na zakupy i zaopatrują się tam w benzynę. I że o godzinę drogi jest jedno z najstarszych amerykańskich dużych miast, Filadelfia, z pięknym stylowym ratuszem i zachowanym aż do gęsiich piór budynkiem, w którym podpisana została Konstytucja Stanów Zjednoczonych.

Mieszkałam w Wilmington, które ma około 200.000 mieszkańców, ok. 50 denominacji religijnych, większość pochodzenia ze Wschodniej Europy, ok. 11.000 Polaków. Moją kwaterę tam stanowił blok standardowych dwupiętrowych budynków o szumnej nazwie Driftwood Club Apartments. Trzypokojowe „mieszkanie do wynajęcia“ różniło się od angielskich posiadaniem wmontowanej maszyny do zmywania statków i temperaturę do 90 stopni F. Komorne było mniej więcej takie same jak za podobne mieszkanie w Anglii, rzecz warta podkreślenia, jako że amerykańskie zarobki na wszystkich szczeblach są co najmniej dwa i więcej razy większe niż tutejsze. W mieszkaniach takich, których nie brakuje nigdzie, żyją na ogół nowi przybysze lub czasowi mieszkańcy, którzy czasem meblują je, za grosze, w składach Salvation Army. Amerykanie bowiem zamieniają meble jak rękawiczki (i wszystko inne też, bo kupowanie to u nich narodowa przyjemność i rozrywka), a stare oddają „na biednych“. Po kilku latach pobytu w Ameryce przeciętnie zaradna rodzina przenosi się do mniejszych czy

większych domków na przedmieściach, które nabywa na wieloletnie spłaty, nie wynoszące więcej niż komorne. Hipotekę dostaje się bardzo łatwo, na 8%, a pierwszą większą wpłatę kilku tysięcy dolarów można także pożyczyć w specjalnych towarzystwach kredytowych, ale już na większy procent.

Najbardziej amerykański w mojej kwaterze był fakt, że brak auta równał się tam nieomal brakowi nóg. Jak zresztą w całej Ameryce, gdzie na „cementarzyskach“ aut widać całkiem niezłe maszyny, a wspaniały (dla mnie!) Chevrolet starszego modelu kosztuje ok. 600 dolarów, na spłaty. Bezutowne łamagi, jak wyżej podpisana, są więc rzadkie nawet wśród tzw. amerykańskiej biedoty, muszą przewijać się jak piskorze między setkami rozpędzonych albo zaparkowanych wozów, których właściciele poszli na zakupy do olbrzymich ośrodków handlowych zbudowanych przy szosach i otoczonych gigantycznymi parkingami. Obok moich „apartamentów“ nie było chodnika na kilometr, nie było także publicznego transportu. Powietrze było odpowiednio „pachnące“.

W bogatszych dzielnicach, z pięknymi w różnych stylach budowanymi willami w przestronnych ogrodach, tak w Wilmington jak i w innych miasteczkach tego rodzaju, są, co prawda, wąskie chodniki, ale oprócz dzieci nikt ich prawie nie używa. W amerykańskim wieku nadprodukcji techniki i młodzi i starzy, naukowcy, robotnicy czy hippisi zamienili się w nowoczesną odmianę centaurów, pół-ludzie, pół-maszyny.

Kiedy więc obejrzałam wszystkie ciekawe wystawy i napchane masami wszelkiego rodzaju towarów sklepy, kiedy zjadłam hot dogs z chipsami i popiłam cocacolę u Woolwortha czy w innej kawiarence, a tych nigdzie nie brak, z jedzeniem na miejscu albo na wynos do auta, nie pozostawało mi nic innego jak tylko wrócić do rozgrzanego mieszkania, aby czekać niecierpliwie na kogoś z autem. Tymczasem oglądałam często infantylnie programy telewizyjne na 15 stacjach do wyboru (telewizja amerykańska jest bez porównania

bardziej purytańska i mniej inteligentna od angielskiej, przy czym reklamy przerywają każdy program co pięć minut), albo przeglądałam kilogramy gazet, w wielkiej części poświęcone ogłoszeniom. Albo wyglądałam przez zalanane deszczem lub pokryte śniegiem okna na placyk między domami, na którym jak niebieski klejnot lśnił otoczony parkanem mały basen i wyciągały pozbawione liści gałęzie cztery smutne drzewa. „Zima była sroga, stopy śniegu i mrozy, dlatego wszystko takie szare i gołe, ale zaczekaj do wiosny, będą upały że ha, wtedy przyda się basen“ — pocieszały mnie niepracujące sąsiadki.

Opełnani manią wielkości Amerykanie nazywają Wilmington „chemiczną stolicą świata“, ze względu na wielkie zakłady chemiczne założone tam przez francuski ród Du Pont de Nemours. Pierwszy Du Pont uciekł przed gilotyną w roku 1800 i w naturalnym parku nad rzeką wybudował prochownię, na której zrobił wielkie pieniądze. Prochownia spaliła się, dzisiaj pozostało po niej tylko muzeum z ciekawymi eksponatami, a park jak był piękny tak jest, tylko niektóre drzewa nie odrodziły się po pożarze, straszą i kuszą przedziwnymi kształtami rozcapierzonych suchych gałęzi. Ostatnią bronią, jaka wyszła z zakładów Du Ponta była pierwsza atomowa bomba amerykańska, którą zrobili na prośbę rządu, bezpłatnie, tylko za zwrot kosztów plus symboliczny dolar. Żeby nie mieć wyrzutów sumienia jak szwedzki Nobel.

Potomkowie założyciela rodu mnożyli się w amerykańskim tempie — jest ich dzisiaj ok. 3.000 w samym Wilmington i okolicach; zarobione na prochu pieniądze mnożyły się jeszcze szybciej, rosły w biliony. Znak fabryczny Du Pont de Nemours oznacza jedną z największych potęg finansowych Ameryki, przemysłowe imperium, które rozwija i produkuje wszelkiego rodzaju wynalazki chemiczne, sztuczne tworzydła, materiały itp. Ten olbrzymi concern był do niedawna imprezą czysto rodzinną, dopiero ostatnio, kiedy interesy pogorszyły się i trzeba wprowadzać nowe po-

rządki i oszczędności, prezydentem firmy został po raz pierwszy fachowiec spoza brylantowego kręgu Du Pontów.

Gdy zwiedzałam Delaware, moi przewodnicy nieomal co chwila wymieniali nazwisko Du Pontów. Kilkunastopiętrowy hotel Du Pont i nowoczesne budynki fabryczne Du Pont, pod różnymi nazwami ze względów podatkowych, zatrudniają dziesiątki tysięcy robotników, naukowców, urzędników. Du Pont, dziwak, który za życia odgrodził się od rodziny i plebsu wysokim murem, zapisał swój wspaniały dom miastu na szpital. Longwood Gardens — tak jak Kew Gardens do sześcianu — to dar innego Du Ponta, a chwałę francuskiego rodu na amerykańskiej ziemi wyśpiewuje w cudnym parku dziesiątki oświetlonych fontann, zaś cieplarnie szczytą się największą ilością egzotycznych kwiatów i roślin ... tak, na świecie. Fundacja Du Pontów utrzymuje park i kieruje urozmaiconym programem kulturalnym i wychowawczym w specjalnie na ten cel zbudowanych salach. W niedzielę park roi się od wycieczkowiczów, czarnych, białych, brązowych, pogoda czy niepogoda.

Kwiaty o niezwykłych kolorach, drzewa i krzewy strzyżone w przedziwne kształty, rozwijają się w naturalnych warunkach na zalesionych wzgórzach ogrodów Winterthur, zaplanowanych na 60 akrach ziemi przez Henry Francis Du Ponta, który za swego życia zebrał piękną kolekcję dwustu lat amerykańskiego folkloru i sztuki stosowanej i ofiarował ją narodowi, jako Muzeum Winterthur. Bo w paternalistycznym amerykańskim ustroju filantropia stanowi nie tylko balsam dla bogatych sumień i pomnik postawiony własnej pamięci, ale jest także jedną z legalnych dróg wymigania się od podatków, czyli łączy przyjemne i szlachetne z pożytecznym.

No, ale dosyć o Du Pontach, szczególnie że podobno akcje ich zakładów spadły ostatnio katastrofalnie, razem z innymi amerykańskimi akcjami i ze świętym dolarrem. Następny felieton poświęcę Polsce, New Yorkowi i innym amerykańskim pogaduszkom.

# Czy Niemcy mogą się zmienić?

„Ludzie, a więc także i chrześcijanie, nie są powołani do podlegania procesom historycznym, tylko do ingerowania w nie“.

(Memoriał „Bensberger Kreis“).

\* \* \*

## O ROZDWOJONYM NARODZIE NIEMIECKIM

Czy ludność Niemieckiej Republiki Federalnej jest istotnie na drodze do „zhumanizowania“, do uczciwości w polityce międzynarodowej, do wyrzeczenia się na zawsze przemocy w osiągnięciu politycznych celów? Czy rozlegające się głosy umiarkowana nie wyrosły ze świadomości, że Niemcy nie będą już nigdy potęgą militarną i nie mają żadnych szans zwycięstwa wobec potęg atomowych, jakimi są Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka? Czy pamięć dokonanych zbrodni przeżywa w duszy niemieckiej nad pamięcią o doznanych krzywdach?

Człowiek jest niewiadomą we wszelkich rozrachunkach, naród — niewiadomą pomnożoną przez miliony; naród niemiecki — zarówno przez swe wady jak i zalety, które w pewnych sytuacjach zamieniają się w wady (ślepe posłuszeństwo, pracowitość i systematyczność nawet w tak przerażających poczynaniach zbiorowych jak ludobójstwo, czy niszczenie dorobku kulturalnego innych narodów) jest niewiadomą podniesioną do n-tej potęgi.

## DWA NURTY W N.R.F.

Studiowanie prasy niemieckiej uczy, że w społeczeństwie tym istnieją dwa nurty i dopóki Niemcy „nie dogadają się“ między sobą i nie uzgodnią swego stanowiska wobec granicy dziś istniejącej i wobec Polską — nie może nastąpić żadna zmiana stosunków między naszym krajem a Federalną Republiką, gorzej jeszcze — że naród niemiecki jest ciągle jeszcze chory psychicznie.

Zeszlóroczne wybory do Bundestagu dały obraz pocieszający. Wia-

domo jest, że 94,6% głosów padło na trzy stronnictwa demokratyczne.

„Narodowosocjalistyczna partia została z trudem, ale wyraźnie utraciona... Wejście Thaddena do Bundestagu naraziłoby Republikę na powódź podejrzeń... Sowiety wytoczyłyby ciężką artylerię, a na Zachodzie zostałyby zakłócone zaufanie do demokratycznego centrum w Niemczech“ — pisała wówczas „Die Welt“. „Passauer Neue Presse“ pochwaliła niemieckiego wyborcę mówiąc: „Dojrzał on jasno niebezpieczeństwa, które mu grożą. Radykałom z lewicy i z prawicy nie dał żadnych szans powodzenia dla ich niebezpiecznej gry na platformie parlamentarnej“. Ale pismo to ostrzegło równocześnie: „Nie widzimy jednak w tym fakcie podstawy do zbyt optywizmu, bo niszczyielskie siły w naszym kraju nie zrezygnują“. „Bonner Rundschau“ tak przyjęła porażkę Thaddena: „Wielkie westchnienie ulgi przeszło przez kraj, kiedy stało się jasne, że Adolf von Thadden nie wejdzie do Bundestagu. Dawne hasła straciły siłę atrakcyjną. Ludzie stali się rozsądniejsi i po dwóch przegranych wojnach światowych nie chcą już słyszeć o przesadnym nacjonalizmie. Akta tej partii można zamknąć. Miejmy nadzieję, że świat dojrzy nareszcie, jak bardzo zmienił się naród niemiecki. Dwadzieścia lat rządów demokratycznych nie przeszło bez śladu“.

Ma jednak „Passauer Presse“ słusność pisząc, że niszczyielskie siły w Niemczech nie zrezygnują.

O reprezentantach tych właśnie sił napisał w swym doskonałym artykule pt.: „Hultaje z Getyngi“ Adam Ciołkosz w „Tygodniu Polskim“ z 18.4.1970. Piętnuje on tam metodę fałszowania przez rewizjonistów niemieckich wypowiedzi emigracyjnych publicystów, jak również metodę ogłaszania reportaży z wywiadów z wybitnymi przedstawicielami emigracji, które nigdy nie miały miejsca.

Żyją jednak także w N.R.F. uczciwi i chrześcijańscy myśliciele i pu-

blicyści, jak np. członkowie „Bensberger Kreis“, stowarzyszenia nawołującego Niemców do pojednania z Polską na warunkach możliwych do przyjęcia dla naszego narodu. Winfried Lipscher (Paderborn), członek tego koła, ogłosił w krakowskim „Tygodniku Powszechnym“ z 12.4.1970. artykuł będący streszczeniem jego odczytu wygłoszonego w styczniu br. do studentów katolickich w Monastyrze (Münster). Odczyt ten nosił tytuł „Pojednanie z Polską jako zadanie polityczne“.

## POJEDNANIE Z POLSKĄ

Autor mówi tam: „Pojednanie z Polską jest dziś w N.R.F. na wszystkich ustach. Nawet związki przesiedleńców i ziomkostw są świadome jego konieczności, a i N.R.D. coś na ten temat plecie. Ale jakże rozmaicie to pojęcie jest u nas używane i interpretowane“.

I stwierdza dalej, że obok dojrzałych politycznie i zaangażowanych chrześcijan, którzy wzywają naród niemiecki do przekształcenia „ugrzęzłej na mieliźnie świadomości“, jest wielu innych, w których myśl o pojednaniu z Polską natrafia na zacięty opór. „Kiedy tylko padnie to słowo, zatrząskują się drzwi, różne osoby wychodzą ostentacyjnie, rozlegają się pojedyncze lub grupowe i zorganizowane krzyki: ‘Rezygnacja! Zdrada!’, albo: ‘Oto zaczęła się już wyprzedaż Niemiec!‘“.

Autorzy znanego memoriału na temat stosunków polsko-niemieckich, opublikowanego w marcu 1968 roku, spotkali się z jednej strony z entuzjastycznymi wypowiedziami zgody, z drugiej zaś z najostrzejszymi protestami, a nawet groźbami morderstwa.

Przypomnijmy pokrótce postulaty tego memoriału:

1) Nawiązanie przez Republikę Federalną stosunków dyplomatycznych z Polską.

2) Ostateczne uporządkowanie sprawy polskich diecezji na dawnych niemieckich terytoriach wschodnich.

3) Odszkodowania dla polskich ofiar hitlerowskiego terroru.

Na co powołują się opozycjoniści? — „Na granice z r. 1937, które nie istnieją“ — mówi autor — i na traktat pokojowy, „przy czym nie chce się przyjąć do wiadomości, że nikt przecież o niego nie zabiega, bo nikt nie zdaje się go potrzebować. Cytuje się w tym miejscu książkę Aleksandra Mitscherlinga „Niezdolność do żaloby“: „Nie ma widoków na taki traktat, a w historii aż nazbyt często sprawdza się reguła, że ten, kto rozpoczął wojnę w celu całkowitego unicestwienia przeciwnika, musiał się liczyć, w razie klęski, z analogicznymi konsekwencjami. Nietrudno przewidzieć, jak obeszloby się ze wschodnimi sąsiadami państwo narodowo-socjalistyczne, gdyby przypadło mu w udziale zwycięstwo. My tymczasem wysuwamy jeszcze po tym wszystkim „roszczenia prawne“, których sami nie uznalibyśmy przecie nigdy za obowiązujące, gdybyśmy zostali zwycięzcami“.

Postawę rewizjonistyczną spotyka się, zdaniem autora, nie tylko u jednostek. Zachowały ją wszystkie dotychczasowe rządy bońskie i oficjalny kościół. „Trwają też ciągle zabiegi w Watykanie w celu przeszkodzenia temu, by uregulowane zostały sprawy obecnych polskich Ziemi Zachodnich. Tereny, zamieszkałe uprzednio głównie przez chrześcijan ewangelickich, są dziś wyłącznie katolickie. Mimo to jednak Szczecin i Kołobrzeg należą jeszcze ciągle do biskupstwa berlińskiego“.

Zjawiska te wyjaśnia autor stwierdzeniem, że „Niemcy przy pomocy różnych mitów społecznych zepchnęli w podświadomość kwestię wojny i swojej w niej odpowiedzialności“.

### MŁODZIEŻ NIEMIECKA PRZECIW MITOM

Ale coś się rusza na tym martwym punkcie. Rząd federalny rozpoczął pertraktacje z Polską. „Także świadomość niemiecka zaczyna się z wolna przekształcać. Ważny wkład wnosi tu przede wszystkim młodzież. Nie daje się już zbywać starym: „Milczeć i słuchać! Żąda dla wszystkiego uzasadnień i tru-

**N**IE jestem hodowcą indyków, więc nie wiem, czy to jest prawda czy też żart, a mianowicie, że tuczenie indyków polega na przepychaniu gałek ciasta do żołądka indyka specjalnym patykiem. Pewne natomiast jest, że partia komunistyczna w Polsce od momentu „objęcia“ władzy w ten właśnie sposób usiłowała tuczyć młodzież, wpychając jej gwałtem do gardła „socjalizm“. Robiono to tak bezceremonialnie, a pokarm, pochodzący z kuchni moskiewskiej, był tak niesmaczny i ciężko strawny, że młodzież ta doznawała najpierw mdłości, a następnie zaczęła wymiotować. Zjawisko generalnego wymiotowania miało miejsce w marcu 1968 r. na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce. Młodzież ta domagała się zdrowszego i bardziej strawnego pokarmu. W tym domaganiu się młodzi nie byli agresywni. Byli oni w defensywie

dno się dziwić, że się buntuje, gdy są one niewystarczające. Ta nowa postawa naszej młodej generacji, której znamię jest to, iż domaga się wiarygodności, budzi nadzieję“.

I tu chyba właśnie leży nadzieja na pojednanie: w młodzieży, która — wyzwolona z pruskiego drylu, rządzącego młodymi pokoleniami od stulecia — stawia niedopuszczalne dawniej pytanie: „dlaczego?“ — i żąda na nie jasnej odpowiedzi. Nie chce brać na swe barki odpowiedzialności za zbrodnie ojców.

Ta młodzież pragnie również kontaktów kulturalnych z krajami, które ojcowie jej niszczyli ogniem i terrorem, z narodami tępiionymi dawniej w obozach i komorach gazowych. Stąd wywodzi się zainteresowanie poezją narodów zza żelaznej kurtyny, ich twórczością literacką, dramatyczną, muzyczną. Dzięki temu Niemcy Zachodnie stały się — jak nigdy przedtem — szeroko otwartą bramą, przez którą twórczość tych narodów płynie wielkim nurtem na Zachód.

Może więc, kiedy wymrze pokolenie karmione mitami o „narodzie panów“, pojednanie polsko-niemieckie stanie się możliwe?

Krystyna Brzozowska

MICHAŁ WYRWCZ

## WALKA

i domagali się czegoś, co jest tak silnie związane z naturą ludzką od prawieków. Domagali się niepodległości bez cenzury, bronili elementarnego prawa kontroli społecznej nad działalnością władz, demonstrowali przeciwko zdjęciu z afisza „Dziadów“, protestowali przeciwko stalinowskim metodom traktowania studentów, przeciwko pogwałceniu zasadniczych praw obywatelskich, zagwarantowanych przez Konstytucję PRL., wołali, że „nie ma chleba bez wolności“, że „cała Polska czeka na swego Dubczeka“, protestowali przeciw kłamstwom środków masowego przekazu, wreszcie podkreślali zbieżność swoich celów z celami klasy robotniczej.

Młodzież przeraziła bonzów partyjnych, wobec tego zastosowano szczególnego rodzaju terapię w formie masowej, nie znanej dotąd w tej skali, masakry. Zapelniono cele więzień po brzegi najwartościowszym elementem, który nie dał się sprowadzić na manowce przez zakłamaną, a nader kosztowną propagandę komunistyczną, która szalała na terenie całej Polski od 23 lat. Dużą liczbę tego, co było najlepsze, „najzdrowsze i najbardziej cenione w narodzie, zwyczajem carskim wysłano „w żołdacy“, lub do obozów koncentracyjnych, dla których w Polsce wynaleziono eufemiczną nazwę „obozów pracy“. Partia przekonała się, że na odcinku młodzieżowym poniosła nie porażkę, lecz totalną klęskę. Nie tedy dziwnego, że w 6 miesięcy później Gomułka na V zjeździe PZPR białodolił w taki oto sposób: „Wydarzenia marcowe zasygnalizowały (co za wykrętna finezja) dwa wielkiej wagi zjawiska:

a) stopień nasilenia walki przeciwko naszej partii i przeciw socjalizmowi przez siły rewizjonistyczne i reakcyjne i zasięg ich wpływów w poszczególnych środowiskach społecznych oraz

b) niedomagania w pracy partii, konieczność umocnienia ideologicznego oddziaływania partii na świadomość społeczeństwa, zwłaszcza

# O RZĄD DUSZ

wzmocnienia pracy ideowo-wychowawczej i politycznej wśród młodzieży, głównie szkół wyższych“.

Na cóż więc przydały się miliardowe wydatki na propagandę w ciągu owych 23 lat rządów komunistycznych? Na nic. Zostały po prostu zmarnowane. Ten „indyczny“ sposób karmienia młodzieży „socjalizmem“ okazał się być tak dalece bezskuteczny, że, jak mi opowiadał naoczny świadek zająć marcowych, doktor chemii, pracownik naukowy U.W., nastolatki w czasie masakrowania studentów przez osławione ORMO wpadały na jezdnię, krzyczały „gestapo, gestapo“ i znikaly, jak duchy, aby w kilka minut później zjawić się ponownie z tym samym okrzykiem.

Terapię na młodzieżową chorobę obmyślił sam Gomułka i metody „leczenia“ krnąbrnej młodzieży przekazał swoim pretorianom do zastosowania na wspomnianym już zjeździe w następującej formie: „Najważniejszym zadaniem w całym szkolnictwie, a w szczególności w szkołach wyższych, jest przezwyciężenie zaniedbań i niedomagań pracy ideowo-wychowawczej i politycznej, umocnienie i polepszenie całego systemu wychowania. Dla realizacji tego zadania niezbędne jest przede wszystkim:

— pryncypialna polemika z teoriami rewizjonizmu, pogłębienie wiedzy społecznej i politycznej młodzieży oraz jej ideowego zaangażowania...;

— wzmocnienie aktywności ideologicznej i polityczno-organizacyjnej uczelnianych i szkolnych organizacji partyjnych oraz pracy ideowo-wychowawczej organizacji młodzieżowych, komitetów rodzicielskich...“

Jednym słowem trzeba zaczynać wszystko od początku, od zera. Wobec tego dekretuje: „We wszystkich klasach szkół średnich i zawodowych należy przeznaczyć jedną godzinę tygodniowo na wychowanie obywatelskie“. (Czytaj komunistyczne).

W ciągu całego roku debatowa-

no w różnych instancjach partyjnych, w jaki sposób rozwiązać kwadraturę koła. Ponieważ indoktrynacji młodzieży nie można przeprowadzić, nie posiadając wierno-poddańczego zespołu nauczycieli, tedy główny wysiłek w ciągu jesieni ub.r. i ostatniej zimy poszedł właśnie w tym kierunku. Na tym odcinku dwa czynniki przysły partii z pewną pomocą. Pierwszy, zaznaczająca się nadprodukcja nauczycieli. Drugi czynnik, to katastrofalny spadek urodzin, spowodowany szaleńczą polityką partii w zakresie budownictwa mieszkaniowego, żłóbków, przedszkoli, opieki lekarskiej, pozycja materialna wielu rodzin. Ten stan rzeczy jest bezpośrednio przyczyną zmniejszania się napływu młodzieży do szkół, a to z kolei wpływa na zmniejszające się zapotrzebowanie na nauczycieli. Do tego dochodzi nadprodukcja nauczycieli. I jakkolwiek nauczyciele są bardzo źle płatni, to jednakże otrzymanie posady bez poparcia czynnika partyjnego nie jest rzeczą tak łatwą. A dyrektorem gimnazjum lub kierownikiem szkoły podstawowej nie może zostać ktoś, kto nie jest członkiem partii. Ponieważ jednak nie wszyscy nauczyciele są członkami partii tedy już w jesieni ub.r. rozpoczął się wyścig aparatchyków, którego celem jest totalne zawładnięcie umysłami nauczycieli i podporządkowanie ich nakazom partii. Rozpoczęła się intensyfikacja pracy „ideologiczno-wychowawczej“ wśród nauczycieli.

Równoległe z tą pracą postanowiono wydawać miesięcznik pt. „Wychowanie“ zawierający materiały do lekcji „wychowania obywatelskiego“. Dotychczas ukazały się cztery numery tej swoistej makulatury. Miesięcznik ten ma być drogowskazem, w jakim kierunku winno pójść owo wychowanie młodzieży na wzorowych, posłusznych, bezmyślnych i wiernych partii komunistów. We mnie wzbudził zainteresowanie Nr 3 tego bałamutnego piśmidła, zajmującego się „woj-

ną psychologiczną“. Dziesięciostronicowy artykuł na ten temat wypocił niejaki Wojciech Pomykała. Jest to szczególnego rodzaju elaborat, w którym szukanie choćby żdźbła prawdy byłoby poszukiwaniem igły w stogu siana, a jeśli idzie o logikę, to autor tego artykułu rozminął się z nią zupełnie.

Bajeczny świat Pomykały zaczyna się w r. 1957, kiedy to „wystrzeżenie przez Związek Radziecki pierwszego, sztucznego satelity ziemi stanowiło szok dla szerokiego kręgu amerykańskiej i całej właściwie zachodniej opinii publicznej“. (o amerykańskich osiągnięciach w tej dziedzinie i o dwukrotnym lądowaniu Amerykanów na księżycu autor artykułu jakoś zapomniał) i w ogóle o tym nie wspomina. Polityka amerykańska od momentu wyczynu Rojsjan przybiera nowe formy, które w umyśle Pomykały tak oto wyglądają: „Imperializm amerykański, łamiąc suwerenne prawa poszczególnych narodów, postanowił udzielać efektywnej pomocy militarnej i ekonomicznej ekipom, rządzącym w poszczególnych krajach, które mogły oderwać się od tzw. zachodniej wspólnoty“. Konia z rządem temu, kto potrafi zrozumieć tę łamigłówkę. Tu wypada nadmienić, że o łamaniu suwerenności państw bloku sowieckiego, o inwazji na Czechosłowację i o doktrynie Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw „socjalistycznych“ Pomykała najwidoczniej zapomniał. Autor dowodzi dalej, że „imperializm“ amerykański ucieka się do zimnej wojny, która polega na tym, „iż podjęto szereg działań, zmierzających do izolacji krajów socjalistycznych“. I tak np. „Wystąpienie zbrojne imperialistów amerykańskich w Korei, dokonane nawet na skutek machinacji politycznych USA pod szyldem ONZ., było jednym z istotnych epizodów polityki powstrzymania.“

W taki oto sposób uczniowie dowiedzą się, że to nie Korea Północna zaczęła wojnę, lecz USA. Nowa „prawda“ została ustalona.

Jakkolwiek pomykałowe bajki zaczynają się w r. 1957, to jednakże czasami cofa się wstecz, jak to już uczynił w wypadku wojny koreańskiej. Tym razem zajmuje się Ber-

linem i twierdzi, że zaburzenia we Wschodnim Berlinie w 1953 r. znowu były dziełem „imperialistów“, lecz zostały one „szybko i operatywnie zlikwidowane“. Że „szybka i operatywna“ likwidacja odbyła się przy użyciu sowieckich czołgów, to autor znowu „zapomniał“ o tym wspomnieć. Powstanie węgierskie było również zaaranżowane przez USA, ale tym razem siłą pomocniczą było Radio Wolna Europa. Amerykanie ze strachu przed Związkiem Sowieckim nie wywiązali się ze swych zobowiązań i powstanie węgierskie zostało również „szybko i operatywnie“ zlikwidowane. W uśmierzeniu węgierskich „buntow-szczyków“ prawdopodobnie wzięli udział Marsjanie, bo o czołgach sowieckich słówka czytelnik nie znajdzie w elaboracji Pomykały. Nie ma również mowy o tym, jakie zobowiązania Amerykanie podjęli względem Węgier. Naiwni uwierzą w to wszystko bez żądania dowodów, a ci, którzy znają całą prawdę i przekazują ją młodemu pokoleniu, „pokwitują“ blagą Pomykały ironicznym uśmiechem, bo za inną reakcją można bardzo łatwo trafić do pałacu Mostowskich. O kryzysie kubańskim i usunięciu nuklearnych rakiet rosyjskich z terenu Kuby nie ma ani słówka. Takiego incydentu w ogóle nie było. O zamordowanym prezydencie USA, Kennedy'm luminarz PZPR pisze: „Zwłaszcza wiele uwagi poświęca próbom wchodzenia przez sztaby wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej w ujawniającej się już stosunkowo wyraźnie w okresie jego prezydentury rozbieżności ideowe w międzynarodowym robotniczym i w obozie socjalistycznym...“ Autorowi widocznie brak odwagi, aby wyjaśnić, co było i jest do dziś przyczyną tych rozbieżności.

Cała chęć polityki amerykańskiej polega na chęci „budowania tzw. mostów, a w późniejszym okresie stopniowemu otwieraniu drzwi, przez które imperializm zamierza penetrować światowy obóz socjalistyczny...“ pobudza w tym obozie „nastroje konsumpcyjne“, stara się „intensyfikować i rozszerzać nacjonalistyczne niechęci jednych narodów wobec drugich“.

Oczywiście takie rzeczy, jak nacjonalistyczne ciągotki Moczara, podsycanie nienawiści Arabów do Izraela i antysyjonistyczna nagonka w Polsce, uprawiana przez Moczara i jego adherentów zostały przez autora przeoczone.

Autor dalej poucza nauczycieli „wychowania obywatelskiego“, że o ile Amerykanie w swoich matactwach muszą do pewnego stopnia liczyć się z obyczajami międzynarodowymi, to „Wolna Europa, posiadająca formalnie prywatny charakter, znajduje się na linii czarnej, bądź tylko szarej propagandy“. Ten typ propagandy Pomykała zalicza do nagorszej, gdyż: „Typowym sposobem realizacji ich (tzn. W. E.) celów jest szantaż, prowokacja, świadoma dezinformacja, oczernianie poszczególnych ludzi, w tym głów państwa“. Trudno się domyśleć, czy i w jakim stopniu autor zdaje sobie sprawę z tego, że ostatni cytat pasuje, jak ulał, do krajowych środków masowego przekazu, czego jego elaborat jest najlepszym dowodem.

Dochodzimy wreszcie do punktu, z którego jasno wynika przyczyna zdaje się permanentnego bólu głowy nie tylko autora, ale całej „wierchuszki“ partyjnej. Bo oto czytamy niezwykle „wnikliwą“ analizę zaiste diabolicznych poczynań imperializmu. Oddajemy głos Pomykałce: „Główne niebezpieczeństwo wojny psychologicznej polega na tym, że sztaby wojny psychologicznej, radiostacje, wprzęgnięte w jej służbę orientuje się na autentyczne siły społeczne w poszczególnych krajach, które są naturalnymi sprzymierzeńcami współczesnego imperializmu. W krajach socjalistycznych taką naturalną siłą społeczną są środowiska w skrócie nazywane rewizjonistycznymi“.

Żeby skutecznie zwalczać tę imperialistyczną zarazę autor ku końcowi tej niezwyklej ekwilibrystyki pisze: „Proponujemy nauczycielom zajęć wychowania obywatelskiego... przygotować dwa zajęcia, poświęcone wojnie psychologicznej i dywersji ideologicznej“. Jak to przeprowadzić praktycznie? W bardzo prosty sposób: należy podzielić klasę na cztery grupy. Dla każdej z

grup autor proponuje następujące tematy:

a) Źródła uznania przez imperializm amerykański wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej jako czwartej sfery amerykańskiej polityki zagranicznej;

b) omówienie, jaką rolę w tym zakresie spełnia „Wolna Europa“;

c) wyjaśnienie istoty rewizjonizmu jako sojusznika ośrodków wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej;

d) w celu lepszego przygotowania wspomnianych zajęć należy grupie najbardziej wyrobionej społecznie i politycznie chłopców i dziewcząt powierzyć czwarty referat poświęcony wnioskowi, jakie płyną z uruchomienia wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej i intensyfikacji wspomnianego frontu walki imperializmu z ruchem robotniczym i komunistycznym. Na ten ostatni referat zwrócić szczególną uwagę i zadbać o to, aby był ściśle skorelowany z trzema referatami poprzednimi“.

Skąd należy czerpać materiały do generalnego ataku na młodzież? Autor służy nauczycielom zbawieną radą i proponuje taką otę literaturę pomocniczą: M. Popiołek — Amerykańska wojna psychologiczna; J. Kolczyński — Dywersja; J. Kolczyński — „Wolna Europa“; W. Namiotkiewicz — Myśl polityczna marksizmu a rewizjonizm; W. Filler — Teorie i praktyki paryskiej „Kultury“.

Wszystko zaczyna się od początku. 23 lata rządów partii komunistycznej i „otaczanie czułą opieką“ młodzieży doprowadziło do marca 1968 r. Osobiście nie mam żadnych obaw, że ten nowy wysiłek zawracania kijem wód Wisły przyniesie takie same rezultaty, jak dotychczasowe, bo taki już jest los wszystkich systemów totalitarnych, że giną w sposób naturalny i najczęściej nagły. Są wszystkie znaki na niebie i ziemi, że komunizm nie ma już nic nowego do powiedzenia i obraca się wokół starych i wyświechtanych frazesów i kręci się w kółko, jak pies za ogonem. A tymczasem człowiek nawet skazany na dożywotnie więzienie nigdy nie przestaje marzyć o wolności.

Michał Wyrwicz

# LITERATURA POLSKA W NIEMCZECH

NIE TAK DAWNO temu można było oglądać w „Deutsche Bibliothek“ („Niemiecka Biblioteka“) w Brukseli bardzo ciekawą wystawę pt. „Wschodnio-europejska literatura w tłumaczeniach niemieckich“. Obejmowała ona tłumaczenia z literatury serbo-chorwackiej, słoweńskiej, polskiej, rumuńskiej, rosyjskiej, czeskiej, słowackiej i węgierskiej, a więc całą Wschodnią Europę. W obszernym katalogu literatura polska zajmowała prawie jedną czwartą ilości stron, a więc stosunkowo dużą część.

W niniejszym artykule zajmujemy się tylko działem polskim jako tym, który nas najbardziej interesuje. Przedmowę do katalogu napisał znany w polskich kołach literackich tłumacz Karł Dedecius. Przekładając dzieła polskich poetów i pisarzy na język niemiecki, wprowadza on je nie tylko na „rynek“ kultury niemieckiej. Docierają one również do tych kół międzynarodowych, które nie znając języka polskiego, znają jednak język niemiecki i w ten sposób mogą się zapoznać z literacką twórczością polską.

Nie będziemy oczywiście, na tym miejscu wyliczać wszystkich tłumaczeń, które widzieliśmy na wystawie, i nawet z działu polskiego nie wszystkich tłumaczonych autorów wyliczymy. Ale oto w porządku alfabetycznym szereg nazwisk: Jerzy Andrzejewski (niektóre jego książki, jak np. „Popiół i diament“ doczekały się nawet kilku tłumaczeń), Zbigniew Bieńkowski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Józef Czapski, polska liryka, poezja, satyra itd. w tłumaczeniu K. Dedeciusa, Jan Dobraczyński, Stanisław Dygat, Konstanty Ildefons Gałczyński, Witold Gombrowicz, Gustaw Herling Grudziński, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Kawalerowicz (teksty dwóch filmów), Leszek Kołakowski, Stanisław Jerzy Lec, W. S. Kuniczak, Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Zofia Nalkowska, Tadeusz Nowakowski, Jan Parandowski, Sergiusz Piasecki, Jan Potocki („Rękopis

znaleziony w Saragossie“), Zofia Romanowiczowa, Tadeusz Różewicz, Bruno Schulz, Julian Strykowski, Stanisław Ignacy Witkiewicz...

Jak wspomnieliśmy to nie wszyscy, a dodajmy jeszcze, że oprócz dzieł polskiej literatury współczesnej widniały na wystawie powojenne wydania tłumaczeń „Nieboskiej komedii“ i „Stu listów do Delfiny“ (Potockiej) Zygmunta Krasińskiego, „Sonetów krymskich“ oraz dwóch tłumaczeń „Pana Tadeusza“ Mickiewicza, „Grzechów dzieciństwa“ Bolesława Prusa, „Moich współczesnych“ Stanisława Przybyszewskiego...

Całość wystawy dała barwny obraz tłumaczeń, które niewątpliwie pozwolą czytelnikom na zapoznanie się z prądami literackimi i twórczością polskich poetów i prozaików. Dodajmy, że przy otwarciu wystawy wygłosił niezmiernie ciekawy wykład profesor uniwersytetu w Konstancji dr J. Striedter pt. „Polska literatura współczesna i polski romantyzm“.

Samo to zestawienie jest bardzo interesujące. Trudno jest oczywiście streścić chociaż w przybliżeniu wywody prelegenta, świadczące o wielkiej i wszechstronnej znajomości przedmiotu. Spróbujmy jednak rzucić na nie choć okiem, chociażby nawet nie wyczerpując w przybliżeniu tematu.

Otóż problem literatury martyrologicznej ujęty został w wykładzie z jednej strony na podstawie III części „Dziadów“, a z drugiej strony kacetowskich opowiadań Borowskiego. Prelegent zwrócił specjalną uwagę na istotę personalizowanego, idealizowanego i demonizowanego, cierpienia romantycznego w przeciwieństwie do odpersonalizowanego, odidealizowanego i oddemonizowanego nowoczesnego przedstawiania cierpienia. W dalszym ciągu przeciwstawił przeciwzwyknięcie osobistego cierpienia człowieka, wychowanego idealistycznie „ze skrzydłami do góry“, przez uczestnictwo w rzeczywistym cierpieniu narodu (rozwój pierwszych części „Dziadów“ ku części III) i

problematykę człowieka, który po uchwytnym doświadczeniu cierpienia w obozach koncentracyjnych stoi bezradnie w obliczu nieuporządkowanej („diffus“) wolności i powszedniości — przykład Zofii Romanowiczowej „Przejście przez Morze Czerwone“. Rozwijając swój wykład, prelegent narysował ogólną sytuację rozczarowanego powojennego pokolenia jako pewnego rodzaju „pokolenia zagubionego“ („lost generation“) — przykład Andrzejewskiego „Popiół i diament“ — oraz wywiódł początkową atrakcję ideologii komunistycznej oraz współpracę niektórych nie-komunistycznych polskich intelektualistów z reżimem komunistycznym z romantycznej tęsknoty za „wiarą uniwersalną“ (Miłosz), stwierdzając w dalszym ciągu kryzys tego rodzaju współpracy . . .

Bardzo ciekawe było porównanie „zamaskowanej“ poezji polskiego romantyzmu („Schlüsseldichtungen“) z „zamaskowaną“ twórczością dzisiejszą. Dzisiejszy dramat polski widział prelegent, o ile chodzi o problemy siły, wolności, bohaterstwa w powiązaniach z odpowiednimi poezjami romantyzmu („Dziady“, „Kordian“ i „Nieboska komedia“) po części bezpośrednich, a po części poprzez Wyspiańskiego i Witkiewicza. Rzecz prosta — stwierdził prelegent — nie można powiązać całej polskiej dramaturgii z zakresu tych tematów z tradycją romantyczną, bo działają tu również inne wpływy. Ogólnie biorąc, prelegent starał się wykazać „jak bardzo z jednej strony współczesna literatura polska czerpie z czasów rozkwitu polskiej literatury w okresie romantyzmu, i to zarówno z tematycznego, jak też z formalnego punktu widzenia, i jak wielki jednocześnie, rozprawiając się krytycznie z tą tradycją, wnosi prawdziwy wkład do nowoczesności, który to wkład sięga daleko poza granice narodowe i posiada znaczenie ogólne zarówno artystyczne jak też myślowe i społeczno-polityczne“ (cytuje z dostarczonej mi uprzejmie notatki prelegenta).

Przytoczyliśmy powyżej tylko niektóre przykłady, na których prelegent oparł swoje wywody. Ciągłość rozwoju literatury polskiej wynika między innymi — jak to się z tych wywodów okazuje — z konieczności „maskowania“ jej właściwej treści, zarówno za czasów caratu, jak też obecnie pod panowaniem komunistycznym. I jest rzeczą bardzo interesującą przekonać się, jak na tę „zamaskowaną“ literaturę patrzą nie tylko Polacy, ale również cudzoziemcy. Bywa, że rzut oka kogoś, który sam nie jest związany z jej problemami, oświetla temat w sposób niespodziewany i oryginalny.

W ogóle jednak ilość tłumaczeń z zakresu literatury polskiej w Niemczech świadczy o pewnym rozwoju, na który warto zwrócić uwagę. Jest to otwarcie oczu na wschód — ale tym razem nie zaborcze i nie wywyższające się, jak to się działo jeszcze wcale nie tak dawno temu. Nie ma ono nic wspólnego z tymi — zgoła innymi — „wschodnimi“ zainteresowaniami niemieckimi, które wykopały w ostatecznym wyniku przepaść między Niemcami a Polską. Przeciwnie, może się ono przychylić do usunięcia tak rozpowszechnionych i do niedawna pielęgnowanych w Niemczech wyobrażeń o własnej „wyższości“ i rzekomej niższości narodów wschodnich. Nie odbarwiło jeszcze co prawda to nowe spojrzenie sposobu myślenia niejednych niemieckich polityków. Czy tak się ostatecznie stanie, trudno dzisiaj przesądzać. Kultura zawsze i wszędzie stwarzała i stwarza platformy spotkania. Im wpływ tej kultury jest silniejszy, tym możliwości spotkania są większe.

I powiedzmy sobie, że gdyby politykę wszędzie robili artyści, pisarze i uczeni, gdyby wyrastała ona na podłożu rzeczywistej kultury i zrozumienia historii, może ludzkość doszłaby wreszcie do poszanowania odrębności narodów, przy jednoczesnym zapanowaniu tego pierwiastka, który nazywamy „pokojem światowym“. Jak dotąd, to się nie udało. Po krótkich okresach, które jak gdyby zapowiadały świt, następowały wybuchy sił, ujarzmiających wszelką wolność. Poetów, pisarzy

**O**T, NIE TAK DAWNO temu, na skutek częstego nalegania siostry i kuzyna, postanowiłem wybrać się do kraju. A że oboje prosili, abym się wybrał około 22 lipca, tj. przed tzw. „świętem odrodzenia narodowego“, tj. w rocznicę manifestu lubelskiego, bo wtedy na rynku będzie więcej mięsa, zastosowałem się do ich życzenia, chociaż, z ostrożności, jedną z walizek wypchałem puszkami z szynką i importowanymi z Polski kiełbasami.

Na Liverpool Street Station ruch niesamowity. Odnosi się wrażenie, że to dworzec warszawski, bo słyzy się tylko język polski, a nawet jeden z tragarzy jest Polakiem. Wagony wypełnione ludźmi i bagażem, nawet wejście do ważnej ludzkiej instytucji, zatarasowano tobołami i dopiero na skutek interwencji konduktora stało się dostępne.

W wagonie panuje podniecenie. Jedni ze łzami w oczach, żegnają swych „kapitalistycznych“ krewnych, inni którzy po kilkutygodniowej wizycie wrócą na ziemię brytyjską, nie okazują większego wrażenia. A gdy pociąg ruszył i znikły z okien powiewające chusteczki, rozpoczęło się zaznajamianie i zaczęły padać pytania, kto i do kogo jedzie, czy to pierwsza podróż czy wielokrotna, jakie to cło trzeba będzie zapłacić od zawartości bagażu.

Po dwóch godzinach zajeżdżamy do Harwich. Wszyscy się spieszą, by dostać miejsce na statku i prześpać 6 godzin podróży do Hook of Holland. Tam znowu pośpiech, by dostać miejsce w wagonie, po tym już spokojniejsza podróż poprzez Holandię i „socjalistyczne“ wschod. Niemcy, gdzie policja i celnicy, podobnie jak przed wojną, spoglądają

i uczonych, którzy zawsze są chciwi wolności, zmuszały one do „maskowania“ swoich utworów, do zakrywania ich właściwego znaczenia inną powierzchnią. Taką była w dużej mierze polska literatura romantyczna, taką jest literatura polska pod reżimem komunistycznym w Polsce. A może warto by napisać osobne studium pt. „Rola maski w literaturze i sztuce?“

Jerzy Drobnik

W. OPÓLSKI

# ŻUREK

HISTORIA

na nas z pogardą, wreszcie Kunowice. Stacja z okazji „święta narodowego“ oflagowana, kontrola paszportów i deklarowanie pieniędzy. Wśród podróżnych byli i tacy, którzy wobec urzędników celnych wyrażali radość, że stanęli na ziemi polskiej, na co ci ostatni, przyzwyczajeni już do tego rodzaju wyrażania radości, nie zwracali uwagi.

Z podróżnych mało kto zaopatrzył się w zimne napoje lub termos. Toteż wszyscy pytali o piwo lub wodę mineralną, a celnicy tłumaczyli, że mała stacja ich nie posiada, ale może je dostaną na następnych, a już na pewno w... Poznaniu.

W Poznaniu większość pędem pośpieszyła do bufetu, wypijając całe galony chłodzących napojów. Tu też nastąpiło pożegnanie się z towarzyszącymi podróżą, udającymi się do różnych części kraju.

Pierwszym celem mojej podróży było jedno z większych miast na Ziemiach Odzyskanych, do kuzyna, od trzech lat emerytowanego, byłego urzędnika miejskiej rady narodowej. Po przejściu na emeryturę pisał, że wiąże koniec z końcem, później, że powodzi im się nieźle, zaś od pewnego czasu, że znowu wiąże koniec z końcem, co oznaczało, że jest niedobrze.

## ŻUREK

Już w czasie przywitania na stacji, a później w domu, zauważyłem u kuzynostwa nastrój posepny. Toteż po wypróżnieniu połowy „mięskiej“ walizki i zjedzeniu kolacji, usiłowałem dowiedzieć się co było powodem tego smutnego nastroju, ale dopiero po wychyleniu kilku kieliszków whisky, kuzyn wyjaśnił mi tylko krótko: „prywatna inicjatywa“. Jaka to inicjatywa prywatna? Ano żurek. Co miał jakiś żurek wspólnego z ich posepnym nastrojem? Ano, zaczął wyjaśniać kuzyn: trzy lata temu jedna z wytwórni gotowych środków spożycia, wypuściła na rynek gotowy żurek polski.



# I BUTELKI

## Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

Żurek był smaczny i z miejsca miał wielkie powodzenie. Za zwrot butelki sklep spółdzielni płacił 2 złote. Dla ludzi zarobkujących wystawanie w sklepie było stratą czasu, tak samo było z wyczekiwaniem na zwrot za butelki, toteż większość z nich wyrzucano.

W tej sytuacji kuzyn wpadł na pomysł ruszenia z prywatną inicjatywą. Mając cały dzień wolny porozumiał się z sąsiadami, że dostarczą im żurek po cenie sklepowej, w zamian za co, oni zwracać mu będą puste butelki. Powoli rozszerzył swój zasięg i już po pewnym czasie liczba odbiorców urosła do przeszło stu, co przynosiło mu dochód od 200-250 zł. tygodniowo. Mając 800 zł. emerytury osiągał w sumie blisko 1800 zł., czyli tzw. przeciętny statystyczny zarobek, zatrudnionego w gospodarce społecznej pracownika. Wtedy to pisał do mnie, że powodzi im się nieźle.

Ale już po dwóch latach „prosperity“ ktoś mu tego dochodu pozazdrościł. Otrzymał wezwanie z urzędu finansowego, gdzie mu oświadczono, że już od blisko trzech lat bez licencji, prowadził handel żurkiem, że nie zeznał dochodu. Wymierzony podatek i grzywna pochłonęły ciężko zapracowany, dodatkowo dochód, a niezależnie od tego, znalazł się na liście przestępców skarbowych. A wtedy pisał, że wiązać znowu koniec z końcem.

## BUTELKI

Z Ziemi Odzyskanych udałem się do jednego z większych miast śląskich, by odwiedzić, po długich latach siostrę, wdowę po inżynierze i wyższej rangi urzędniku państwowym. Po śmierci męża przyznano jej 600 zł. renty wdowiej. Z 3-pokojowego mieszkania pozwolono jej zatrzymać jeden pokój, dwa inne, urząd miejski przydzielił rodzinie z 4 osób. I ona, w listach usiłowała przekonać mnie, że „jakoś sobie

daje radę“, chociaż wysokości renty wdowiej nigdy nie zdradzała i dopiero ujawniła ją na miejscu. Była mi wdzięczna za regularne przysyłanie paczek, ale to wszystko nie zdołało mnie przekonać. Zauważyłem bowiem w kącie pokoju, nakryte suknom dwa większe koszyki, za duże na zakup drobnych towarów żywnościowych dla jednej osoby.

Już po dwóch dniach, siostra przeprosiła mnie, że musi na kilka godzin pozostawić mnie samego, rzuciła abym w tym czasie zwiedził miasto. Po jej odejściu zauważyłem, że zabrała ze sobą oba koszyki, toteż po jej powrocie nalegałem, by mi wytłumaczyła, dlaczego je zabrała, a wtedy dowiedziałem się o całej, tragicznej prawdzie.

Od kilku lat po śmierci męża, uzbrojona w koszyki zbierała z wejść do domów pozostawione tam przez pijaków puste butelki, które odnosiła do sklepu monopolowego, za co płacono 3 złote za butelkę. Ale, z uśmiechem dodała, że od pewnego czasu udało się jej uzyskać dostęp na tereny budowy nowych bloków mieszkaniowych, co uwolniło ją od chodzenia po domach. I ona, podobnie jak kuzyn, do 600 zł. renty wdowiej dorabiała miesięcznie około 800 złotych, a w dniach okresowo płaconych zarobków nawet i więcej. Szeptem, aby nie usłyszeć jej sąsiedzi za ścianą, dodała, że jeden z kolegów jej zmarłego męża, tej samej rangi urzędniczej, miał znacznie wyższą emeryturę, a po jego śmierci przyznano wdowie nie 600 ale 1000 zł. renty. Ale jak mi wyjaśniła, on był „partyjnym“, zasiadał w komitecie miejskim i otrzymał odznaczenie, które podniosło jego dochód automatycznie o 25 procent, zatem po jego śmierci i rentę wdowią jego żony. Ublagałem ją, by od zaraz zaprzestała uprawiać prywatną inicjatywę, by uniknąć losu kuzyna i obiecałem jej, że dochód utracony ze sprzedaży butelek wyrównam jej dodatkowymi przekazami. Zgodziła się na to, bo jak przyznała, na skutek, jak się wyraziła „podźwigania“, nie jest już w stanie wlec dwóch ciężkich koszyków, a ponadto, żyła przez cały czas w ciągłym strachu, że pewnego dnia ktoś może ją zadenuncjować do władz skar-

bowych, a wtedy łatwo mogłaby podzielić los kuzyna.

Od czasu powrotu do Anglii nie schodzą mi z myśli smutne przeżycia doświadczone w czasie pierwszej mojej ekskursji do kraju. Po raz pierwszy, przekonałem się naocznie, o losie tej wielkiej rzeszy emerytów i wdów po emerytach, usiłujących utrzymać się przy życiu z tak śmiesznie niskiego zaopatrzenia. Trzeba rzeczywiście, tam pojechać, by na miejscu przekonać się o ich tragicznej sytuacji.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA  
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

## TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE  
ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z  
Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

NAJLEPSZĄ TREŚĆ  
ZA NAJNIŻSZĄ CENĘ!  
PRENURATA „ORLA BIAŁEGO“  
TYLKO £2.80 ROCZNIE!

## ROZWAŻANIA

WŚRÓD oficjalnych i sentymentalnych pochwał, jakimi biografowie obsypali zmarłego prezydenta Eisenhowera nie zabrakło podkreślenia dobrej pamięci. Zwłaszcza, że chodzi przecież o osobę naczelnego wodza sprzymierzonych armii w największej wojnie świata, rzecz nie zasługuje na komentarz. Jeśli miał skutecznie operować na swej rozległej strategicznej szachownicy, jeśli atak lub obrona nie miały pozostać wynikiem jedynie intuicji lub hazardu, musiał polegać, w pierwszym rzędzie, na zdolności liczenia się z pozycją jednostek bojowych i wszystkimi konsekwencjami ewentualnego ich przesunięcia. Zapewne każdy wybitniejszy strateg w historii celował bystrością i trwałością pamięci. Napoleon np. — w wysokim stopniu.

Pamięć jest jednym z przejawów życia psychicznego. Spostrzeżenia zdobyte przy pomocy zmysłów zapisane gdzieś są w mózgu i w razie potrzeby można je przywołać we wspomnieniach, przypomnieniach, rozpoznaniach i konfrontacjach. I to jest zasadniczą cechą pamięci. Jej istnienie przyjmujemy jako rzecz najnaturalniejszą w świecie, de facto jest jednym z niezwykłych cudów współpracy miliona przeróżnych komórek, dróg nerwowych, zdolności uświadomienia sobie wrażeń i ich odtworzenia, czynności przelicznych komputerów, mieszczących się najprawdopodobniej w różnych odcinkach kory mózgowej, niekoniecznie tylko płata czołowego.

Każdy osobnik, świadom swego potencjału umysłowego, pragnie go wzmocnić, przede wszystkim posiadaniem dobrej pamięci i jej dalszym doskonaleniem. W biografii sławniejszych ludzi znajdujemy często wzmianki o ich świetnej, niezwyklej lub nawet fotograficznej pamięci. Z góry należy przestrzec, że sama pamięć nie decyduje o stopniu genialności. Darwin np. miał tylko przeciętną pamięć i jej mierność kompensował troskliwymi, systematycznymi notatkami.

Z dostępnych statystyk wynika, że odsetek ludzi z nieprzeciętną pamięcią posiada również proporcjonalnie wysoką inteligencję. Wybitny psychiatra amerykański Wechsler jest zdania, że pamięć jest jednym z czynników, sprawujących ważną funkcję w kształtowaniu inteligencji. Pamięć obejmuje spostrzeżenia natury wzrokowej, słuchowej, dotykowej, węchowej i smakowej. Zapach perfumy czy też kwiatu może przywołać wspomnienia osoby lub wydarzenia. Smakosz i znawca win, lękawszy trunek, którego nazwy i pochodzenia nie zna, określi trafnie gatunek i poda często poprawnie miejsce uprawy winogron. Prof. Hadley, o którym będzie jeszcze mowa, potraktowany raz winem, pochodzącym z prywatnej piwnicy pewnej nadreńskiej rodziny, nigdy nie rzuconym na rynek, opisał z największą dokładnością mały okrąg nadreński, gdzie, jego słusznym zdaniem, mogła nastąpić produkcja podobnego gatunku. Doświadczeni lekarze rozpoznają pewne choroby bez badania, już po zapachu. Muzykalny człowiek potrafi, dzięki doświadczeniu, nabytemu wysłuchaniem jednego utworu, odgadnąć kompozytora po każdej innej kompozycji, nawet z odmiennego okresu.

Otologa i psychologa interesuje szczególnie istnienie absolutnego czyli doskonałego słuchu (absolute or perfect pitch). Jest to zdolność natychmiastowego (na niespodziewany rozkaz) zaprodukowania każdego tonu tj. oddania dokładnej ilości drgań, charakteryzujących ton; również bezzwłocznego identyfikowania usłyszanego tonu. Jest więc pewnym rodzajem subtelnej pamięci. Posiadacz takiego talentu zachowuje w umyśle, świadomie lub nieświadomie, dźwięk jakiegoś instrumentu (najczęściej domowego pianina), zazwyczaj dźwięk nuty A, i instynktownie porównuje z nim każdy usłyszany dźwięk lub wyobrażony z przeczytania nuty. I to jest zdumiewająca postać wielokrotnej pamięci. Zapamiętać jeden

ton potrafi z reguły każdy lepszy skrzypek, gdyż stroi według niego swój instrument. Co innego jednak jest zdolność natychmiastowego popisanie się **każdym** tonem w zakresie głosu na szczególne żądanie, lub rozpoznanie każdej nuty w obrębie dźwięku. Anatomicznie wymaga to jakiejś niezwyklej budowy aparatu Cortiego w uchu, niezwykle czułego przewodzenia od niego drgań do centrów mózgowych i jakiegoś nadkaligraficznego zapisywania ich w centrach. Obrazowo można by opisać to zjawisko jako stałe zamieszczenie w mózgu widełek stroikowych, oddających drganie tonu A, i zdolność błyskawicznego porównania z nim każdej innej frekwencji drgań. Mozart posiadał ten dar już w siódmym roku życia, Schumann i Wagner, dwaj geniusze muzyczni, nie znali go wcale. Zdawało by się, że definicja pamięci jest ustalona i zgodnie przez wszystkie szkoły przyjęta. Daleko do tego. Dla naszych jednak potrzeb wolno nam przyjąć, że pamięć to właściwość istot żyjących, polegająca na tym, że: 1) pewne doświadczenia utralają się w psychice i 2) mogą później przejawiać się w przypomnieniach i rozpoznaniach.

Proces przechowywania wydarzeń czy nabytych wiadomości przebiega zadowalająco lub kapryśnie. Zależnie od tego następuje przy przypomnieniu mniejsze lub większe odchylenie od pierwotnej treści lub wręcz zapomnienie.

Mistrz Freud często podkreśla swój sceptycyzm odnośnie absolutnego zapominania. W każdej kłęsce pamięci dopatruje się motywu wewnętrznego tj. podświadomej niechęci. Zapomniany materiał, w myśl jego poglądu, nie ulega zniszczeniu lecz jedynie chwilowemu stłumieniu. Zawsze, jego zdaniem, można doszukać się przyczyn, hamujących przypomnienie. W wypadkach, w których np. zapominamy podjąć akcję celem spełnienia przyrzeczonej grzeczności, istnieje antagonizm w stosunku do konwencjonal-

# NAD PAMIĘCIĄ

nego obowiązku i jakaś wroga opinia wewnętrzna. Przy zapominaniu nazwisk, poucza Freud, istnieje dodatkowy proces wadliwego przywoływania wypadłych z pamięci nazwisk. Zastępuje się je często innymi, ad hoc przywołanymi, które, nawet rozpoznane jako fałszywe, przecież wciskają się na miejsce właściwego. Freud przypuszcza, że zastępcze nazwisko nie jest przypadkowe; pozostaje w jakimś związku z zagubionym.

Stopniowy zanik pamięci jest zrozumiały. Od dwudziestego roku życia mózg traci rocznie 1 gram na wadze. Staje się stopniowo lżejszy, a jego funkcje słabną. Fascynujące zagadnienie stanowią przypadki ekscesywnej tzw. fotograficznej pamięci. Żargon naukowy mówi o „eidetic imagery“. „Eidetic“ — słowo pochodzenia greckiego, określa zdolność najdokładniejszej reprodukcji czegoś poprzednio widzianego lub wyobrażonego. Tę zdolność posiadają często dzieci, stąd ważność ich zeznań w procesach kryminalnych. Zatracają ją jednak z wiekiem. Mamy do czynienia w takich wypadkach nie tylko z pamięcią w ogólnych zarysach, ale ze zdolności w rozszczepieniu jej i objęcia nią najdrobniejszych, najniepozorniejszych fragmentów. Kant posiadał taką zdolność i potrafił pewnemu angielskiemu koledze opisać najdokładniej most nad Tamizą, który znał tylko ze sprawozdania, ale nigdy nie widział. Na ogół jednak należy odnosić się ze sceptycyzmem do możliwości istnienia podobnej pamięci. Marcus Fabius Quintilianus, sławny retoryk i pedagog, autor klasycznej „Institutio oratoria“ (1 wiek po Chr), zauważył w jednej ze swoich rozpraw: „opowiada się o ludziach zdolnych, którzy powtórzyć mogą każdą ilość wierszy raz usłyszących, ale ja nigdy nie miałem szczęścia być przy tym obecny“.

Opisy biografów należy więc przyjmować z rezerwą. Bardzo doświadczeni pedagodzy nie natrafili nigdy na podobną osobliwość. W je-

dnym z przeprowadzonych doświadczeń poddano tysiąc studentów i sto starszych osób próbom. Żaden z probandów nie okazał tak dobrej pamięci jaką się przypisuje Balzakowi lub Toscaninemu. Nie mniej jednak stwierdzono rzecz bardzo ważną, a mianowicie równoległość doskonałości pamięci z osiągnięciami w szkole i karierze. Studenty z najlepszą pamięcią mieli również najlepsze stopnie.

Na mobilizowanie pamięci, a raczej jej usprawnienie, można wpływać różnymi sposobami. Jedni utrwalają wrażenia opisem i, gdy chcą je przypomnieć sobie, przywołują słowa opisu, inni kładą nacisk na sytuację, w której uchwycili obraz. Niektórzy zaś potrafią wchłaniać pisaną treść zdumiewająco szybko. Do nich należeli Balzak i Mme Curie. Są również rachmistrze, zdolni odtworzyć długą kolumnę cyfr, na którą raz rzucili okiem.

Przedmiotem dokładniejszego badania psychologów amerykańskich był wspomniany prof. Arthur Twinning Hadley (1856-1930). Miał ojca, znającego liczne języki, wśród nich łacinę, grekę, hebrajski, hiszpański, sanskryt, walijski i języki celtyckie. Arthur studiował w Berlinie, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. Później zajął się statystyką i ekonomią. Pożerał wszystko, co okazywało się na rynku wydawniczym, a czytał zdumiewająco szybko i dokładnie. Pamięć miał już graniczącą z fotograficzną. Zaskoczony raz oracją jakiegoś szwedzkiego uczonego odpowiedział z miejsca po łacinie. Potrafił recytować bez błędu teksty greckie, które czytał pół wieku temu. Jego dzieci i wnuki miały również dobrą pamięć.

Rzadkim fenomenem jest także inny Amerykanin, Robert A. Lovett, urodzony w 1895 roku. Ukończył studia prawnicze w Harvard. W ostatniej wojnie zajmował się sprawami obrony. Ojciec egzaminował go za młodu każdego wieczoru z dziennych spostrzeżeń. Za zado-

wałającą odpowiedź wynagradzał go 25 centami. Uczył się z największą łatwością, celował w językach i matematyce. Karierę rozpoczął w jednym z banków. Jego występy przed komitetami Kongresu miały posmak sensacyjnego popisu. Zoznawał zawsze bez asysty sekretarzy i bez żadnych notatek. Jadąc autem po najbardziej ożywionych szlakach, potrafił zapamiętać numer każdego mijanego wozu, co ściśle kontrolowano. Po przyjęciach opisywał żonie toalety dam z najdrobniejszymi szczegółami. Posiadał pamięć głównie wzrokową, również węchową. Zauważył, że alkohol działa u niego ujemnie na przywołanie pamięci, a fizyczne zmęczenie wyraźnie je upośledza. W 69 roku życia stwierdził u siebie objawy zaniku pamięci, czego jednak badający go psycholodzy nie potwierdzili. Czytał wprost błyskawicznie.

Do znanych osobistości, obdarzonych znakomitą pamięcią należeli: Mme Curie, Freud, Toscanini, Balzak, Waksman (pogromca gruźlicy). Dziedziczność gra pewną rolę, chociaż pamięć nie jest pojedynczym zjawiskiem. Jest raczej wypadkową takich procesów, jak pojmowanie, koncentracja, zdolność magazynowania wrażeń, przypomnienia i rozpoznania. Szybkie uczenie się ułatwia zdobywanie informacji i umożliwia rozwiązanie zagadnienia z mniejszym wysiłkiem aniżeli zdoła to mozolna i zwolniona praca.

Zdolność przechowywania na pozór mało ważnych informacji w pamięci, czyli, wyrażając się żargonem psychoanalizy, w podświadomości, pozwala osobie twórczej korzystać z nich we właściwym czasie drogą kombinacji i permutacji. To jest pewnego rodzaju proces snucia czy marzenia, praktykowany z wielkim powodzeniem przez Edisona, Mme Curie, Darwina i innych.

Dobra pamięć, zdaniem miarodajnych psychologów i pedagogów, jest cenną własnością, gdyż wróży, z reguły, wyższy stopień inteligencji. Systematyczne i metodyczne badanie i oznaczenie jej skali datuje się od Hermana Ebbinghaus, autora książki „Über das Gedächtniss“ (1885). On również zwrócił uwagę na fakt, że pamięć specjalizuje się

w różnych dziedzinach. Ta sama osoba może doskonale pamiętać pewne rodzaje doświadczeń, a inne gorzej. Świadomi swej słabości posługują się kodem tj. symbolami, liczbami, skrótami, w które ubierają rzeczy godne zapamiętania. Pomysłowi korzystają z systemów mnemotechnicznych, gotowych, lub w miarę potrzeby improwizowanych.

Pamięć jest pojęciem używanym w dwu zasadniczych znaczeniach: 1) jako suma uchwyconych i przechowanych doświadczeń, 2) jako zdolność przywołania i opisywania tych doświadczeń. Kłamca nie korzysta z istotnych, utrwalonych w pamięci wydarzeń, lecz je fabrykuje zależnie od chwilowej potrzeby. Prędzej czy później następuje konfrontacja sprzecznych zapodań. To też wspomniany Quintilian przestrzegał: mendacem memorem esse oportet (kłamca powinien posiadać dobrą pamięć). Arystofanes zaś zwierzał się: posiadam dwa rodzaje pamięci, na to przysięgam. Co bliżni są mi winni, tego nigdy nie mogę zapomnieć, ale mam okropną pamięć, gdy chodzi o moje długi.

Sella tak przedstawia mądrość:

\* \* \*

Usus me genuit, mater peperit

Memoria

Sophiam vocant me Graii, vos

sapientiam.

(Ćwiczenie mię zrodziło, matką była pamięć. Sofią nazywają mię Grecy, wy mądrością).

Marcus Aurelius odnosi się pesymistycznie do czasu zachowania wydarzeń w pamięci: Wszystko jest krótkotrwałe, tak ten, który pamięta, jak ten, którego się pamięta.

Plautus przypisuje kobietom szczególny rodzaj pamięci:

\* \* \*

Si quid faciendum est mulieri male

atque malitiose

Ea sibi immortalis memoria est

meminisse et sempiterna

Si bene quid aut fideieter faciendum

est eo deveniunt

Obliviosae extemplo uti fiant

meminisse nequeunt.

(Miles gloriosus).

Na polskie to znaczy: Jeśli kobieta zamierza coś złego i złośliwego, jej pamięć jest nieśmiertelna,

Ku ciężkiemu utrapieniu komunistów stronnictwa centrowo-lewicowe: chrześcijańska demokracja, socjaliści, socjaldemokraci i republikanie po długich sporach i przekomarzeniach utworzyli przed samą Wielkanocą nowy rząd koalicyjny pod przewodnictwem dotychczasowego premiera Rumora. W czasie nie kończących się targów o sformułowanie poszczególnych części deklaracji programowej niejednokrotnie padała groźba rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. Ale nikt ich nie chciał, więc po zastosowaniu wszystkich możliwych wybiegów i intryg personalnych utworzono gabinet koalicyjny, bardzo podobny do dawnego, który zawałił się w pierwszych dniach lipca ubiegłego roku. Jest rzeczą znamioną, że wyborów nie chcieli także będący w stałej opozycji, komuniści. Najwidoczniej przewidywali, że mimo skłócenia partii centrowo-lewicowych nie na wyborach nie zarobią, gdyż silne rozdźwięki zakradły się także do nich. Zresztą, rola partii opozycyjnej dawno się już sprzykrzyła zarówno przywódcom, jak i dołom partyjnym. Toteż ze stony komunistów nie tylko czyniono wszystko, by podburzyć jednych przeciw drugim, ale również zachwalano koncepcję rządu frontu ludowego. Rząd taki miałby powstać z udziałem lewego skrzydła chrześcijańskiej demokracji, socjalistów i, oczywiście, komunistów. Strategia zmierzająca do uniknięcia wyborów była także uzasadniona obawą przed sukcesem stronnictw prawicowych. Podejrzewano, że w wyborach do nowego parlamentu partie prawicowe i elementy neo-faszystowskie wzmocnią znacznie swój stan posiadania. Mogłoby to mieć ten skutek, że nastąpiłyby

wiecznotrwała; jeśli coś dobrego i rzetelnego, natychmiast zapomina i nie może sobie przypomnieć.

Starożytni znali się niezłe na subtelnościach psychoanalizy i kapryśności kobiecej natury. Wszystkie poważniejsze studia nad psychicznymi zjawiskami należy zaczynać od poznania greckich i rzymskich mądrości.

Ferdynand Goldschlag

FELIKS CHRZANOWSKI

## KALEJDOSKOP

zmierzch dotychczasowej demokratycznej tolerancji i wyrozumiałości wobec komunistów, którzy wprawdzie czynią co pewien czas gesty protestu wobec Moskwy, ale nie mają dość odwagi, by zdobyć się na jawne z nią zerwanie.

Na przeciąganie się kryzysu, który faktycznie rozpoczął się już w grudniu, wpłynęła także nota watykańska, upominająca się o szanowanie konkordatu i usankcjonowanie przez ten traktat katolickiej zasady nierozzerwalności małżeństwa. Nota wiązała się z uchwaloną w końcu listopada przez izbę niższą parlamentu ustawą o rozwodach. Powstała kwestia jak na tę notę odpowiedzieć. Zaczęły się ożywione dyskusje, w toku których wysunięto pytanie, czemu dyplomacja watykańska wysłała notę nie zaraz po uchwaleniu ustawy — co byłoby zupełnie logiczne — ale dopiero po dwóch miesiącach, gdy rozmowy o utworzenie nowego rządu koalicyjnego toczyły się w najlepsze. I tę trudność zdołano jednak ominąć. Postanowiono, że o rozwodach zdecyduje suwerennie parlament, a rokowania z Watykanem przeprowadzi dwóch członków rządu: chrześcijański demokratą Moro i republikanin Reale. Ustalono też ponownie, że istniejąca w łonie koalicji zasadnicza różnica poglądów na problem rozwodów nie może spowodować kryzysu rządowego. Postanowienie to również nie wypadło po myśli komunistów.

### ZWIĄZKI ZAWODOWE

Pierwszą decyzją powziętą przez rząd jeszcze przed otrzymaniem votum zaufania w obu izbach parlamentu było wyznaczenie wyborów regionalnych na dzień 7 czerwca.



**SZYBKO I TANIO!**

Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. 01 - 228 0879

## WYSTAWA DE CHIRICO

## WŁOSKI

Wprowadzono w ten sposób w życie jeden z głównych punktów programu, uzgodnionego z tak wielkim trudem w ciągu 2-miesięcznych rokowań i przetargów. Powszechną uwagę zwróciło stanowisko zajęte wobec tych wyborów przez trzy główne centrale związkowe: chrześcijańsko-demokratyczną, socjalistyczną i komunistyczną. Pod koniec kwietnia opublikowały one łącznie odezwę, w której zabroniły działaczom na stanowiskach związkowych oraz prasie syndykalnej prowadzenia kampanii wyborczej i jawnego angażowania się po tej czy innej stronie. Posunięcie to nie zdziwiło bacznych obserwatorów włoskiego życia politycznego i społecznego, zwłaszcza, że zbiegło się ono z nową falą strajków powszechnych, zorganizowanych przez wspomniane trzy centrale. Strajki te znowu wiązały się z pewnymi **zasadniczymi** postulatami socjalnymi o **znaczeniu ogólnokrajowym**. Tym razem centrale związkowe domagały się przyspieszenia reform społecznych przez zablokowanie komornego i budowę tanich mieszkań przy finansowej pomocy państwa, usprawnienia komunikacji miejskiej i podmiejskiej co ma olbrzymie znaczenie dla ludzi jadących do pracy, podwyższenie poziomu płac minimalnych, nie podlegających podatkowi oraz rozszerzenia ubezpieczeń na wypadek choroby. Celem tej akcji strajkowej było, podobnie jak podczas szesnastomiesięcznej walki o emeryturę i o zniesienie strefowej różnicy płac, wywarcie nacisku na rząd i parlament, by władze nie zwlekały z reformami, których konieczność uznają wszystkie zrzeszenia syndykalne bez względu na sympatie polityczne.

Ta wzrastająca rola ruchu syndykalnego jest we Włoszech szczególnie znamiennej. Nie bez racji spostrzeżono, że im słabsza jest władza polityczna — tym silniejszy staje się wpływ central związkowych na kształtowanie się struktury społeczeństwa i na zaspokajanie jego potrzeb.

W Mediolanie otwarto w Palazzo Reale pierwszą wielką wystawę antologiczną, wystawę dzieł włoskiego malarza i poety Giorgio De Chirico. Zebrano wszystkie najbardziej dla niego typowe obrazy olejne, rzeźby, rysunki, sztychy i utwory literackie z różnych epok. De Chirico zapisał się w historii sztuki jako malarz metafizyczny, który wywarł wielki wpływ na surrealistów. W okresie, gdy z dokładnością mistrzów toskańskiego quattrocenta malował ulice i place miast włoskich umiał — jak dziś piszą krytycy — wyczarować bezruch rzeczy, atmosferę samotności oraz nastroj oczekiwania i niejasnych przeczuć. Później zasłynął jako twórca obrazów fantastycznych. Echo znalazły w nich tematy klasyczne. Malował plaże nadmorskie ze starożytnymi ruinami i galopującymi końmi, lub postacie greckich wojowników na tle współczesnych mieszkań.

De Chirico ma lat 82. Urodził się w Grecji jako syn inżyniera włoskiego, zatrudnionego przy budowie kolei żelaznych. Jego starszy brat Andrea, używający pseudonimu Alberto Savinio, zyskał sławę jako muzyk, pisarz i malarz. Po śmierci ojca w roku 1905 matka wraz z obu synami wyjechała do Monachium. Jadąc przez półwysep Apeniński De Chirico widział po raz pierwszy architekturę miast włoskich. W roku 1911 po studiach odbytych w Monachium De Chirico osiedlił się w Paryżu. Poznał tam m.in. poetę Kostrowickiego — Apollinaire i namalował słynny portret z proroczą obwódką na głowie. Jest ona na tej samej wysokości, na której poeta w ostatnim okresie swego życia nosił platynową obręcz na skutek rany odniesionej w roku 1916 na froncie. Prasa włoska zamieszczała obszernie sprawozdania z wystawy De Chirico przytaczając następujący urywek z jego „Modlitwy porannej prawdziwego malarza“:

„Pomóż mi Boże i daj mi natchnienie, abym mógł rozwiązać problemy materialne mej pracy malarza i abym mógł przywrócić malarstwu ten blask, który utraciło prawie sto lat temu“.

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

MIĘDZY MŁOTEM  
A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 18s., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE

w W. BRYTANII

(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: 60 sh. — 7.50 dol. — 36 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Czy jesteś  
członkiem SPK?

# NA ŚWIĘTO MORZA

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

## M O R Z E

### P I E Ś Ń M A R Y N A R Z Y

*W naszych żaglach zwiniętych śpi wielka marszruta,  
W naszych masztach śpią skrzydła lotniejsze, niż ptak,  
W naszych mapach śpi przestrzeń bezbrzeżnie rozsnuta  
Puls uderza w maszynach i gra poszum flag.*

*W naszych żaglach rozwiniętych śpi wiatr, oddech  
[świata,*

*Wiatr, co morza podnosi i rzuca na ląd:  
Wieczny ruch, który w górze z podniebia wylata,  
Niewidzialny, poczęty nie wiadomo skąd.*

*Dobra igła kompasu, jak z dłoni nam wróży  
Nieomylny kierunek wśród pustki i wód,  
Płyniemy poślubieni, jak Kolumb, podróżny,  
Ten sam nas duch prowadzi, który jego wiódł.*

*Prosto z zatoki Gdynńskiej na Bałtyk i z fali  
Pełnej złotych bursztynów, bijącej o Hel,  
Na morza, na Atlantyk — i dalej i dalej,  
Niech z masztów naszych czerwien topoce i biel.*

— — —

*O, pozdrowione bądźcie morza, oceany,  
I lądy, których błady rozpięzcha się ślad!  
Flota nasza pokłonem bandery rozwianej  
Jak ojczyznę ogromną, salutuje świat.*

WANDA KARCZEWSKA

### G D Y N I A II

*Dudniły ciężko po pustym wybrzeżu  
fale zielone zwarte  
Na diunach wyrosłe  
kaszubskie chce otułały sosny.  
W słońcu — więcierze.*

*Aż nagle —  
z torfów  
pastwisk dzikich  
poczęły biec po Wiku  
nawoływania  
okrzyki.*

*W nadmorską ciszę  
uderzył oskardem  
wielki budowniczy!*

Twardo

ostro

*wdarły się w wodorosty  
przecięty ciemne pola  
żelbetonowe  
mola kamienne.*

*Ponad stuokie bloki białe —  
powychylały głowy  
żelazne krany  
dźwigi portowe.*

*Stalowo lśnią okręty  
ładowane rudą  
węglem  
syreny ryczą we mgle  
terkoczą kutry  
huczą dragi.*

Jutro

*już nie będzie  
białych  
wysmukłych  
żagli...*

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

### W Y B R Z E Ż E

*Meduzy rozrzucone niedbale,  
muszle, które piasek grzebie,  
i ryba opuszczona przez fale  
jak moje serce przez ciebie.*

### S Y R E N Y

*Ogród nad morzem pachnie słodkim groszkiem  
na brzeg wpływają rozpienione treny.  
W morzu płaczą syreny,  
bo morze jest gorzkie.*

### M O R Z E I N I E B O

*Fale świecą się jak szkietka czeskie  
i szepcą, by się morza nie bać,  
choć jest jak połowa nieba:  
równie pełne śmierci i niebieskie...*

### P O R T R E T

*Usta twoje: ocean różowy.  
Spojrzenie: fala wzburzona.  
A twoje szerokie ramiona:  
Pas ratunkowy...*

## B O J A

## WIEM, DOKĄD PŁYNIESZ...

Wola boja chrapliwym, ponurym, rozpaczliwym głosem:  
Uciekajcie, uciekajcie — nie mierzyc się wam z losem.

Macie bezkres i brzeg, macie i śmierć w odmętach —  
Kogoś, co nienawidzi, kocha, albo tylko pamięta.

Płynicie w którąkolwiek stronę, jakąkolwiek bądź  
[drogę —  
Omijajcie mnie, co tonę i utonąć nie mogę.

Wiem, dokąd płyniesz srebrny ptaku,  
W cichych upalnych snów przedwieczersz,  
Po granatowym nieba szlaku  
Kurzawę iskier wleciesz.

Nad ciemne morze mkniysz z wieczora  
W pobrzęku gwiazd i w mewim wrzasku,  
By w nim otworzyć głąb jeziora,  
Pełną jasnego blasku.

Jezioro będzie toczyć kręgi,  
Jak gdyby toń się zapaliła,  
I nagle — aż po widnokręgi —  
Morze — srebrna mogiła.

## LEOPOLD STAFF

## MORZE, MORZE

Morze, morze, o, zielone wino  
W ziemi cudnie rzeźbionym pucharze,  
Którym na śmierć upojeni giną  
Najzuchwalsi jeno marynarze!

Morze, morze, szmaragdzie bez ceny,  
Chwiejnie w ziemi osadzon pierścieniu,  
Co zaślubia nam śmierci syreny:  
Wiecznie wolne gwiazdy w nieb milczeniu.

Morze, morze, pływając po tobie  
Od nadziei dni spędzim szaleńsze  
I od braci, co w ziemskim śpią grobie,  
Będziem mieli mogiły zieleńsze.

## ANNA SŁOMCZYŃSKA

## R Y B A C Y

(fragment)

Obserwuję rybaków. Są dziwni. Do nas wszystkich  
[niepodobni bardzo.  
Nie znają naszych tortur, na przykład pychy, trwogi,  
[zawiści, rozpaczy.  
Stronią od gwarnych miast i od tłumy: władzę, sławę,  
[bogactwami gardzą,  
i nie chcieliby, aby cud jakiś ukształtował im losy  
[inaczej.

## MARIUSZ ZARUSKI

## G R A F A L

My dzieci błyskawic, orkanów i morza —  
Bezpańskie, swobodne, niczyje —  
Pędzimy przed siebie w błękitne bezdroża,  
Łuskami się mieniąc jak żmije.

Nie dla nas słabości i tęsknot obroża,  
Nie dla nas wdzięczą się lilie:  
Nas goni w bezkresy tajemna moc boża  
I duch zniszczenia w nas żyje.

Potężne, drapieżne my ptaki wędrowne  
Topimy w odmętach okręty ładowne,  
Łez ludzkich toczymy opale...

Bez pragnień i celów, pięknością zawodne,  
Pędzimy w bezkresy zuchwale, swobodne  
Wciąż dalej, a dalej i dalej!

## JAN BARANOWICZ

## P O Ł Ó W B U R S Z T Y N Ó W

A bursztyny się zbiera, gdy wieje nord-west  
i niesforne bałwany koronką się śnieżą.  
Wtedy trzeba świtanem jak na grzyby leżć  
i boso, by uprzedzić tych, co w łózkach leżą.

Trzeba schylać się ciągle aż zaboli kark  
i drewnikiem jak kura grzebać w żwiru treści.  
I po dnie jak płastuga spojrzeniem wśród alg  
czołgać się, walcząc z falą, co chłosta i pieści.

Potem usiąść na piasku, nogi zagiąć w łęk  
i z kieszeni ułowku na dłoń natrząść prężną —  
I czoło ubrać w podziw, myśl ciepłą i łęk,  
że siwe tysiąclecia w kamykach tych grzęzną.

# A M E R I C A N A

Tyle się mówi i pisze o rekordach i dokonaniach lotnictwa, że nie już właściwie nie potrafi nas zadziwić jeżeli chodzi o ten rodzaj komunikacji i podróżowania. A jednak dopiero wtedy, gdy własnym swoim doświadczeniem potwierdzamy niejako te przewagi lotnictwa nad wszystkimi innymi środkami poruszania się, dopiero wtedy ogarnia nas podziw. Kiedy po raz pierwszy w życiu leciałem z Londynu do Nowego Yorku w grudniu 1951 roku, bilet kosztował blisko 200 funtów szterlingów — dzisiaj kosztuje połowę tej sumy. Lot do Nowego Yorku trwał 19 godzin z lądowaniem w Shannon w Irlandii — dzisiaj trwa 6 godzin bez lądowania gdziekolwiek. W 1951 roku linia brytyjska B.O.A.C. królowała na szlaku atlantyckim, ale niebawem pojawiła się konkurencja amerykańska w formie PANAM i TWA, które dzisiaj mają cały szereg lotów dziennie nie tylko na szlaku Nowy York, ale i w głąb olbrzymiego lądu amerykańskiego. Samoloty różnych linii startują nie tylko ze stolic swoich krajów, ale i ze wszystkich większych miast Europy: z Zurychu i Genewy, z Rotterdamu i Frankfurtu nad Menem, z Manchesteru i Glasgow, z Mediolanu i Palermo. To jest ta pierwsza wielka zmiana, jaką odczuwa się zaraz na wstępie podróży do Nowego Świata.

W latach 1951 i 1952, kiedy miałem sposobność obserwowania i podglądania życia amerykańskiego, Stany Zjednoczone były jeszcze jakby w stanie euforii po zwycięstwie w roku 1945 w Europie i Azji. Sukces odniesiony w r. 1948 nad Rosją przy pomocy tzw. „mostu lotniczego“, który złamał złośliwe szykany sowieckie w Berlinie, krążył jeszcze niejako w krwioobieg tego narodu, a przeciwstawienie się Północnej Korei było pochodną tego poczucia optymizmu, jaki ożywiały Stany Zjednoczone. Dzisiaj euforia skończyła się i Ameryka ma kłopoty na wszystkich frontach. Konflikt wietnamski wlecze się w nieskończoność i chociaż musimy być przekonani, że

dojdzie prędzej czy później do jakiegoś międzynarodowego układu na odcinku Wietnamu, to jednak odwlekanie się negocjacji na serio kosztuje Amerykę wiele nerwów i cierpliwości. Ameryka przeżywa kryzys wietnamski tak, jak przed tym Francja przeżywała na swój sposób kryzys algierski. Chodzi tu nie tylko o zachowanie twarzy, co jest tak ważnym czynnikiem wśród ludów Azji, ale i wytworzenie nastroju, w którym prawdziwe rokowania mogłyby być przeprowadzone zamiast jakiegoś dorywczego układu, który by się rozpadł pod pierwszym naciskiem Północnego Wietnamu.

Ameryka w roku 1951 nie знаła kłopotów z Murzynami na skalę obecną, chociaż konflikt ten zawsze właściwie drzemał w historii amerykańskiej od chwili zakończenia wojny secesyjnej. Jest to problem niebywale ciężki, którego nie da się przeciąć żadnym mieczem: nie ma bowiem prostych rozwiązań w życiu zbiorowym, zwłaszcza, gdy chodzi o element tak emocjonalny jak Murzyni. Napisano już tomy o tym jak należałoby potraktować kwestię murzyńską, ale te wszystkie rady nie na wiele się zdają. Jedna kula skierowana w Luther Kinga niszczy lata pracy ludzi dobrej woli, którzy rozumieją, że musi dojść do współżycia ras w Stanach Zjednoczonych.

Ale na tym nie kończą się kłopoty amerykańskie na wstępie lat 70-tych. Ameryka jest dzisiaj w stanie duchowej depresji i wypowiada otwarcie słowa, że prestiż amerykański nigdy jeszcze nie stał tak nisko jak obecnie. W latach powojennych Ameryka była dla Europy wzorem do zjednoczenia się i niestety wzór ten zawiódł, a raczej Europa nie osiągnęła jeszcze stanu, w którym byłaby gotowa zrzec się chociażby części swoich suwerenności na rzecz zjednoczenia kontynentu. Powiedzenie, że gość nie powinien nigdy przedłużać zbyt długo swojej wizyty sprawdziło się na Amerykanach: dzisiaj zapomina się

łatwo o tym, że to amerykańska tarcza tak, jak ochraniała po wojnie, tak ochrania i dzisiaj Europę która nie potrafiła wypracować formuły zjednoczenia. Dla Ameryki jest to wielki cios, albowiem Amerykanin chce być lubiany w przeciwieństwie do Anglika, któremu nie zależy na tym, czy go lubią czy nie — grunt by go szanowali. Sentymentalny Amerykanin chce być przede wszystkim lubiany, chce być dla innych „a jolly good fellow“ z uśmiechem wieku pokwitania na twarzy. Przeciętny Amerykanin nie rozumie skomplikowanych spraw dnia dzisiejszego, czując przy tym, że jakieś potężne siły wciągają go nieubłaganie w coraz to nowe konflikty. Rola policjanta świata nie uśmiecha się Amerykaninowi, któremu brak jest poczucia imperialnego i chęci narzucania innym krajom amerykańskiego stylu życia. Na razie ten styl życia ogranicza się do mody na coca-cola, który to napitek stał się symbolem obecności amerykańskiej na świecie. Ameryka w przeciwieństwie do starego Rzymu nie ma ochoty na hegemonię nad światem. Nie zapominajmy bowiem o tym, że trzon amerykański stanowi nie Nowy York czy San Francisco, ale środkowy zachód, gdzie utrzymuje się dalej twardy typ człowieka, wykształconego w walce z przyrodą. Ale Nowy York stał się — również wbrew woli — pępkiem świata i nowym Paryżem.

Olbrzymia dynamika tłumu, który przewala się ulicami Nowego Yorku jest niemal dotykalna w swym napięciu. Jakże inaczej kroczy przechodzień poprzez paryskie Pola Elizejskie! Język angielski nie ma nawet odpowiednika na francuskie słowo „flâner“, które dla Francuza jest czymś w rodzaju rytuału. Amerykanin natomiast spieszy się i nie zawsze potrafiłby powiedzieć, dlaczego? Jest to jakiś przymus, który działa mechanicznie u milionów, przetaczających się wieczorem wśród świateł i neonów 5th Avenue. A mimo tego to fascy-

(Dokończenie obok)



# Wizerunek poetycki Tadeusza Sułkowskiego

**T**ADEUSZ SUŁKOWSKI urodził się w Skierniewicach w roku 1907, zmarł 53 lata później w Londynie, w polskim Domu Pisarza na Finchley Road. W lipcu tego roku minie 10 lat od jego zgonu.

Samo zestawienie tych dat określa Sułkowskiego jako członka tej części społeczeństwa, która stargana wojną i wstrząśnięta jej niepomysłnym dla ojczyzny zakończeniem pozostała na obczyźnie, aby żyć i tworzyć na wolności.

W roku 1939 Tadeusz Sułkowski, jako podporucznik skierniewickiego pułku piechoty, idzie na wojnę. Dostaje się do niewoli i przebywa w niej do końca wojny. W roku 1945 dołącza do 2 Korpusu we Włoszech, a w rok później przybywa do Londynu. Niebawem z inicjatywy znanej pisarki Herminii Naglerowej i współdziałale prof. Strońskiego, publicysty, pisarza, działacza politycznego i społecznego, powstaje w Londynie Dom Pisarza. Ideą przewodnią tej instytucji miało być gromadzenie ludzi pióra pod jednym dachem i ułatwianie im życia i pisania. Przez pierwsze lata Dom Pisarza spełniał to zadanie. Mieszkałi w nim ludzie pióra, urządzano w saloniku Domu imprezy kulturalne i spotkania z pisarzami przyjeżdżającymi do Londynu. Dyskutowano, wadzono się, tworzone plany pracy i wydawnictw i pisano, pisano, pisano. Wiele najlepszych pozycji literatury polskiej na obczyźnie wywodzi się z Domu Pisarza na Finchley Road w Londynie.

Administratorem, opiekunem a przede wszystkim sprzątaczem tego domu był Tadeusz Sułkowski. Miał swój pokój przy wejściu i mie-

nujące miasto z kolorowymi wstęgami światła, sznurami samochodów i sklepów otwartych często przez 24 godziny na dobę — jest nowym Paryżem, który tworzy z kamienia Manhattanu takie wspinające ośrodki ludzkiej myśli i sztuki, jak Lincoln Center czy Rockefeller Center.

szał w nim samotnie. Tu powstały jego wiersze i tu zmarł nagle na serce.

Sułkowski jako poeta to duży i ciekawy rozdział emigracyjnej twórczości. Zgodne wypowiedzi krytyków literackich oceniają Sułkowskiego jako klasyka formy, mającego ogromne poczucie odpowiedzialności za każde słowo, jako filozofa głębi, który zdawał sobie sprawę z posłannictwa poety oraz czuł ciężar odpowiedzialności moralnej. W formie swych poezji zachacza o bliższą tradycję, a nawet nawiązuje do poetów XVII wieku. Mimo to jest w swej wypowiedzi artystycznej całkowicie współczesny, a w wielu myślach wyprzedzający swoje pokolenie. Szuka ładu i afirmacji życia, przekazuje nam je w formie o wyjątkowej dojrzałości. Nie ma w jego wierszach niepokojącej bezładności, spontaniczności — jak targa większością dzisiejszych poetów. Jest w nim lęk przed niedoskonałością i dążenie do zbudowania Złotego Domu — jak zatyłował jeden ze swoich wierszy, domu, w którym poezja kładzie cegły pod codzienny porządek, a człowiek koronuje dzieło swego życia — jak się poeta wyraził — „owocem pożywnym nadziei“.

W roku 1933 wyszła pierwsza książka Sułkowskiego, zbiór wierszy pt. „List do dnia“. Tom następny — „Dom Złoty“, ukazał się dopiero po śmierci poety, w roku 1961, nakładem londyńskiej Oficyny Poetów i Malarzy. Poprzedzony został przedmową Kazimierza Sowińskiego, który opisał dzieje pracy kompozycyjnej autora nad tą książką. Odległość tych dwu dat to symbol całej twórczości Sułkowskiego. Pisząc poczuwał się do ogromnej odpowiedzialności i nim zdecydował się na wydrukowanie wiersza, cyzelował go i poprawiał wiele razy, niepokoił się, czy w sposób właściwy wypowiedział swe myśli i opracowywał ten sam fragment wiele razy. Niechętnie, z oporami wewnętrznymi godził się na to, aby jego wiersz stanął przed

czytelnikami na łamach któregoś z pism, a już po prostu walczył z przyjaciółmi, którzy chcieli wydać jego poezje w książce. Dopiero w roku poprzedzającym śmierć uznał, że „Dom Złoty“ jest dostatecznie opracowany i gotowy do druku. Ale ukazał się ten tom dopiero w parę miesięcy po śmierci poety.

Drugą cechą Sułkowskiego, bardzo ludzką, była skrytość. Swe własne życie chronił przed ludźmi jak skąpiec. Obdarzał ich natomiast swymi myślami o sztuce, dyskutował zapalając się i forsował swój pogląd o odpowiedzialności artysty przed światem. Każdy, kto spotkał Sułkowskiego był przejęty żarliwością i szerokim horyzontem myślowym. Kochał sztukę w każdym jej przejawie i starał się ją poznać do głębi. Stąd, obok poezji, jego zainteresowanie muzyką, malarstwem, rzeźbą.

Przyjaciół miał mało — twierdzi o nim jeden z nielicznych, Waclaw Iwaniuk. Natomiast ludzi, którzy spotkawszy go, nie potrafili go zapomnieć było niezmiernie dużo. Ci przyjaciele i ci znajomi z drogi, którą kroczył złożyli się na piękny pomnik w postaci książki poświęconej jego pamięci\*).

Wydali ją własnym nakładem Krystyna i Czesław Bednarczykowie — przyjaciele z Oficyny Poetów i Malarzy, którą Sułkowski nieraz wspomagał swą pracą.

Redaktorem książki i w dużej mierze jej inicjatorem jest bardzo bliski przyjaciel Sułkowskiego, towarzysz jego życia od czasów skierniewickiej młodości, poeta Kazimierz Sowiński. W redagowaniu współuczestniczył Tymon Terlecki, krytyk literacki, obecnie profesor uniwersytetu w Chicago, jeden z najwnikliwszych znawców twórczości Sułkowskiego.

Książka „O Tadeuszu Sułkowskim“ jest zbiorem wspomnień, ese-

\*) O Tadeuszu Sułkowskim — książka zbiorowa pod redakcją Kazimierza Sowińskiego i Tymona Terleckiego. Nakładem i drukiem Oficyny Poetów i Malarzy. Londyn, 1967. Stron 212.

jów, wypowiedzi krytycznych dwudziestu jeden autorów. Powstaje z tego obraz człowieka i pogląd na twórczość poety i — kto wie czy to nie najważniejsze — świadectwo siły, z jaką Sułkowski promieniował na otoczenie.

Wśród autorów książki znajdziemy również Marię Dąbrowską. Sułkowski poznał ją w czasie, gdy zorganizował jej wieczór autorski w Skierniewicach. Korespondował z wielką pisarką w czasie pobytu w obozie jenieckim w Niemczech i w latach londyńskich, a wreszcie spotkał ją znów — po latach — właśnie w Domu Pisarza na Finchley. Pisze o Sułkowskim Kazimierz Wierzyński, który wysoko cenił jego poezję. Piszą: Józef Wittlin, Józef Łobodowski, Tadeusz Nowakowski, Jan Bielatowicz, Bronisław Przyłuski, Waclaw Iwaniuk — żeby ograniczyć się do paru tylko nazwisk. A więc cały zespół poetów, pisarzy, artystów — niektórzy o wielkim ciężarze talentu i pisarskiego doświadczenia. Pisze prof. Mieczysław Giergielewicz, nauczyciel Sułkowskiego z czasów skierniewickich, opiekun i znawca talentu swego dawnego ucznia. Pisze Czesław Bednarczyk, który mieszkał przez ścianę, do ostatniej chwili pracował ze Sułkowskim i pierwszy otworzył drzwi pokoju, gdzie przyjaciel leżał rażony śmiercią.

Duży wkład w książkę, dał Kazimierz Sowiński. On śledził życie i twórczość Sułkowskiego od najwcześniejszych lat. Jego wspomnie-

nia, sięgające czasów młodości i doprowadzone aż po ostatnie prace nad wydaniem „Domu Złotego“, wiążą niejako książkę w całość, w opowieść o życiu poety, ilustrowaną obrazami, jakie on rzutował na świadomość swych przyjaciół i przygodnych znajomych.

Wspomnienia o poecie są jedno po drugim wyznaniem odczuwania mocy i wyrazistości tego obrazu. Każdy, kto zetknął się z Tadeuszem Sułkowskim wyniósł z tego spotkania wrażenie obcowania z artystą wysokiej rangi. To właśnie co czytelnikom jego poezji przekazuje piękna książka o Sułkowskim. Znakomici pisarze otrzymują zwykle od potomnych wielkie monografie i opracowania krytyczne. Ci, co po nich przychodzą, badają listy, spisują świadectwa, wczytują się w pozostałe po nich dokumenty i szperają w pamiętnikach współczesnych. Potem zebrane wiadomości komponują w książkę, która ma być rzutem człowieka na swe pokolenie i na pokolenia następne. Gdy krytycy i biografowie w przyszłości zaczną badać dzieło i życie Tadeusza Sułkowskiego, będą mieli gotową kanwę. Staną przed świadectwem niezwykłym, bo to nie przypadkowe wzmianki w pamiętnikach, ani artykuły krytyków rozrzucone po pismach, nie wspomnienia starca idealizującego przeszłość, ale przemówią do badaczy pełne świadomości, pisane współcześnie sprawozdania z rozmów wczorajszych, z wydarzeń najświeższych.

Z portretu Sułkowskiego, rysowanego przez Feliksa Topolskiego, patrzą na nas tragiczne oczy człowieka, który miał świadomość — użyjmy słów poety — że „samusieńkim środkiem nas samych biegnie oś tego świata i ziemi“.

Książka o Sułkowskim pomaga nam nie tylko w zrozumieniu wartości poezji. Ta książka pokazuje też epokę, z której jeszcze nie wyszliśmy. Epokę zmagania o wolną, nieskrępowaną wypowiedź. Epokę naznaczoną skazami wojny i obarczoną bólem utraconych rodzinnych stron, tych swoich Skierniewic. Lecz w każdym wierszu Sułkowskiego znajdziemy nadzieję, że po burzy zaświeci słońce, że „trąba burzy pęka i ogród po ulewie ma znak ludzkich stóp“.

Z każdego wspomnienia jego przyjaciół i współczesnych wyczytamy jak bardzo i z jaką siłą przekonania dążył poeta do tego pokoju ludzkiego, pisząc i czelując swe wiersze, aby były najdoskonalsze, najbardziej prawdziwe.

Niezwykli ludzie powinni mieć pomniki. Tadeusz Sułkowski otrzymał od swych współczesnych pomnik najtrwalszy i żywy: książkę.

Czesław Dobek

## Biblioteka „Kultury“

seria **DOKUMENTY**

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

### MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Studium procesów społecznych  
w państwie socjalistycznym.  
Książka, która spowodowała  
usunięcie autora  
z partii komunistycznej.

Cena: 20 sh. — 2.50 dol. — 12 fr.

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**HENRYK GRUBER**

## WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. **BUG WPADA DO WISŁY** — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. **ANATOMIA POCZĄTKÓW** — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. **CZART PROWADZI BAL** — przejęcia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

# Przegląd spraw wojskowych

**J A P O N I A.** Mimo skrupowań konstytucyjnych, zwłaszcza przez art. 9., uniemożliwiających wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej, i mimo przeznaczania na obronę niespełna 1% produktu narodowego, gdy Ameryka przeznacza ponad 9% — japońskie siły zbrojne, zwane samoobroną, stopniowo się powiększają i ulepsząją. Oczywiście, nie w takim tempie jak przemysł japoński, który wysunął się już na trzecie miejsce w świecie, nawet niemiecki „cud gospodarczy“ dystansując. Te siły „samoobrony“, rozwinięte z policji, liczą bądź jak bądź już ponad 250.000 oficerów i szeregowych, w tym 180.000 należących do armii lądowej. Biorąc pod uwagę, że Japonia ma już ponad 103 miliony ludności, taki stan liczebny jest oczywiście, bardzo skromny. Nie tylko w porównaniu z milionowymi armiami Chin i Sowieców, ale nawet w porównaniu z siłami obu Korei czy też Czang-kai-Czeka. Dysproporcję do pewnego stopnia wyrównuje bogate i nowoczesne uzbrojenie i wyposażenie wojska i lotnictwa, przy czym już 84% sprzętu i 90% amunicji pochodzi z wytwórni japońskich, produkujących, częściowo na licencjach amerykańskich, „Phantomy“ i „Starfightery“, czołgi „M-61“ i dwa nowsze modele, rakiety taktyczne, przeciwlotnicze i przeciwpancerne itd. Mimo to i mimo wielokrotnie większej potęgi ognia niż dawniej, daleko liczniejszej armii cesarskiej, zdolność do odparcia ewentualnej inwazji jest jeszcze niewystarczająca i głównym zabezpieczeniem przed nią jest sojusz obronny z Ameryką i amerykański odstraszk nuklearny. Zwłaszcza, że japońska flota wojenna jest jeszcze w przeciwieństwie do olbrzymiej floty handlowej bardzo słaba i dowozu surowców, od którego przemysł i transport japoński jest niemal w 90% zależny, zabezpieczyć by nie mogła, bo nawet chińskiej flocie nie dorównuje. Do tego dochodzi szczególnie wrażliwość gęsto zaludnionego kraju na ewentualne ciosy atomowe, w opinii japońskiej raczej ze strony Chin niż ze strony Sowieców grożące.

Mimo tego zagrożenia, wzmocnione go niedawnym wprowadzeniem chińskiego satelity w orbitę ziemi, Japonia dotychczas nie przystąpiła do przegotowywania własnych broni nuklearnych i pocisków międzykontynentalnych, choć jest do tego technicznie zdolna i choć już w lutym br. wprowadziła satelitę „Lambda“ w orbitę ziemi. Jej minister dla spraw samo-

obrony, Nakasane, zapowiedział w parlamencie, że dopiero za 5 lat nastąpi podwojenie budżetu jego resortu. Śnać rząd Sato ma mocne nerwy, skoro nie spieszy się ze zwiększeniem obronności kraju — mimo rosnącej popularności sił samoobrony. Dodać tu warto, że już nie cesarz, lecz premier jest ich zwierzchnikiem. Trzeba również wspomnieć o tym, że mimo liczenia się raczej z zagrożeniem ze strony Chin jedna trzecia wojska i lotnictwa (w tym cała broń pancerna) stacjonuje na wyspie Hokaïdo, najbliższej zagarniętych przez Sowiety Kuryli i Sachalinu Południowego. Ludność tej wyspy jest zresztą najbardziej antysowiecko nastawiona, m.in. z powodu masowego kaperowania jej statków rybackich przez sowieckie ścigacze.

Nie spieszy się również Japonia z rewizją swej konstytucji, narzuconej jej swego czasu przez Amerykę. Głównie dlatego, że chroni ona przed wciągnięciem w konflikty zbrojne na kontynencie azjatyckim, bo zabrania użycia oddziałów samoobrony poza granicami Japonii. Z tego samego powodu rząd japoński utrudnia produkcję sprzętu uzbrojeniowego na eksport, choć mogłaby ona dać ogromne dochody.

**W I E T N A M.** O ile, mimo wycofania do połowy kwietnia około 114.000 żołnierzy i lotników amerykańskich, natężenie walk w samym Wietnamie Południowym wyraźnie osłabło, o czym świadczy najlepiej znaczne zmniejszenie strat amerykańskich i południowowietnamskich, o tyle sytuacja w dwu pozostałych częściach dawnych Indochin, czyli w Laosie a zwłaszcza w Kambodży, wyraźnie się zaogniła i pogorszyła. Czy nie doprowadzi to do bezpośredniej i pełnej interwencji sił amerykańskich, której większość senatu jest oczywiście przeciwna, można tylko zgadywać. Wejście oddziałów amerykańskich na teren Kambodży 1 maja przemawia za tym, że doprowadzi tak czy inaczej rozwój sytuacji nie tylko Wietnamu Południowego, ale także Syjamu prawdopodobnie opóźni wycofanie dalszych 150.000 żołnierzy amerykańskich, zapowiedziane niedawno przez prez Nixona. Wszak po wykonaniu tej zapowiedzi zostałyby w Południowym Wietnamie już tylko 284 tysiące żołnierzy, lotników i marynarzy amerykańskich, co w razie opano-

wania Kambodży przez czerwonych z pewnością by nie wystarczyło.

Jakim stopniu zmalały krwawe straty w I kwartał bieżącego roku, o tym świadczy najlepiej następujące zestawienie porównawcze, opublikowane w tygodniku „U.S.A. News & World Report“ z 4 maja br.: W ciągu I kwartałów poległo w 1966 roku 1.224, w 1967 roku 2.126, w 1968 roku aż 4.689, zaś w 1969 roku bądź jak bądź 3.184, a w 1970 roku zaledwie 1099. Nie dziw, że w swym przemówieniu z 20 kwietnia Nixon pochwalił się tym faktem, by opinię amerykańską upokoić.

**A F R Y K A.** Wobec stopniowego zaniku wpływów brytyjskich (ostatnio Zambia zastąpiła brytyjskich instruktorów lotniczych włoskimi) i nieangażowania się Ameryki, którą tak samo jak W. Brytania, ewakuuje swoją bazę lotniczą w Libii, już tylko 3 państwa obce walczą o wpływy: Sowiety, Chiny i Francja. Największe sukcesy na tym polu odniosły niewątpliwie Sowiety, które poza mocnymi zaczepieniami w Algierii, Egipcie, Sudanie i Somalii użykują coraz większe wpływy w Kongo-Brazewille i Tanzanii, dobierają się do Libii i wskutek pomagania Nigerii w jej walce ze zbuntowaną Biafrą zdobyły pozycję „dobrodzieja“ w Lagos. Znamiennym faktem jest również, że bezpośrednio po uzyskaniu niepodległości przez Botswanę ustanowiły tam swój konsulat. Francja zachowała swój wpływ w większości swoich dawnych kolonii i próbuje — przy pomocy dostaw samolotów „Mirage“ dla Libii, a niedostarczenia ich Izraelowi przeciwstawić się sowieckim wpływom w świecie arabskim. Chiny, niezrażone utraceniem ich wpływów w Ghanie i Centralnej Afryce próbują zaczepić się w Zambii i dawnym Kongo belgijskim. Toteż Rodezja i Południowo-Afrykańska Republika się zbroją, a Portugalia nie osłabia wysiłku, by Angolę i Mozambik obronić.

Kage

Kazimierz Schleyen  
**LWOWSKIE GAWĘDY**

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate, Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

## BALET PANTOMIMICZNY

**W**YSTĘPY polskiego Baletu Pantomimicznego Henryka Tomaszewskiego z Wrocławia urządzone w londyńskim teatrze Sadlers Wells składają się na swego rodzaju przełomowy moment w dziejach żywych sztuk ruchowych na świecie. Pierwszym wyskokiem polskim po wojnie w zakresie pokrewnej sztuki ruchowej były nieprzeciętne osiągnięcia polskiej sztuki kinematograficznej i rozkwit pedagogiki i techniki w tym zakresie, któremu położony został szybko kres przez ograniczenia cenzuralne. Drugim wyskokiem jest impreza Henryka Tomaszewskiego, która ma już swoją krótką historię.

Tomaszewski jest wychowankiem krakowskiej szkoły dramatycznej otwartej w kwietniu 1945 r. przez zasłużonego dekoratora i inscenizatora łódzkiego Iwo Galla (1890-1959). Gall będąc sam wychowankiem „Reduty“ Juliusza Ostrowy (1885-1947), kultywował jej ducha i przekazywał młodszemu pokoleniu aktorskiemu, startującemu w tajnych szkołach dramatycznych podczas wojny i po wojnie. Do tej szkoły Tomaszewski wstąpił w r. 1945 a po jej ukończeniu wyszkolenie swe uzupełnił w szkole baletowej, której charakter jest nieznanymi piszącemu. Natomiast wiadomo, że był on potem solistą w zespole Feliksa Parnella (ur. 1898), jednego z pierwszych odnowicieli zrutowizowanego baletu opery warszawskiej. Wstąpił też do baletu opery wrocławskiej, a potem w r. 1955 założył w październiku własne studio, rozpoczynając samodzielną pracę baletmistrzowską. Ale tutaj konwencjonalna terminologia się załamuje, bo właściwie nie zrywając z tańcem bynajmniej, a więc i z baletem, nawiązał do nie mniej starej tradycji w dziejach sztuki poza Polską, a mianowicie do pantomimy i to bynajmniej nie w znaczeniu nadanym temu słowu przez angielskie widowiska dla dzieci.

Równocześnie Tomaszewski rozpoczyna objazdy zagranicą, najpierw w charakterze indywidualnego tancerza-mima, a potem z zespołem baletu pantomimicznego w bardzo szerokim znaczeniu obu tych słów. W ten sposób objechał już sam lub z zespołem Stany Zjedno-

czony, Kanadę, Rosję, Holandię, kraje skanynawskie, Francję, Anglię, Niemcy i Węgry, był i na Środkowym Wschodzie, zdobywając szereg nagród i odznaczeń za swoją i zespołu pracę. Poza odtworzeniem kilku ról charakterystycznych w baletach takich jak Diabeł w „Panu Twardowskim“ do muzyki Ludomira Różyckiego (1884-1953), Li-Szan-Fu w „Czerwonym Maku“ do muzyki Reinholda M. Glier (urodz. 1875), oraz Pawia w „Paw i dziewczyna“. Jako gościnny choreograf pracował na scenach operowych w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu, wystawiając m.in. tańce w „Dafnis i Chloe“ do muzyki M. Ravela (1875-1937), „Petruszka“ do muzyki I. Strawińskiego (ur. 1882) i w „Francesca z Rimini“ do muzyki P. I. Czajkowskiego (1840-1893). Na scenie teatru norweskiego w Oslo wystawił pantomimiczne sceny do utworu Eugeniuszo O'Neill (1888-1953) „Cesarz Jones“. Występował w telewizji polskiej, duńskiej i zachodnio-niemieckiej oraz brał udział w filmie nakręconym dla UNESCO pt. „Wschodni i zachodni mimowie“. Biorąc rzecz w skalę światowej rzec można, że w czasach współczesnych wyprzedził go tylko Marcel Marceau (vel Mangel) (ur. 1923), który wystawiał pantomimy nie tyle o tanecznym co raczej dramatycznym charakterze już w r. 1948. („Je suis mort avant l'aube“ — Umarłem przed świtem).

W W. Brytanii Tomaszewski wystąpił po raz pierwszy w r. 1966 w ramach festiwalu w Edynburgu dając 7 przedstawień. W r. 1968 wziął udział w ramach polskiego festiwalu urządzonego przez angielskie Północno-zachodnie Towarzystwo Artystyczne. Na zakończenie tego objazdu dał 2 przedstawienia w teatrze klubowym „The Place“ w Londynie z programem złożonym z tych samych dwóch utworów, które były pokazane na tegorocznym pierwszym przedstawieniu w Sadlers Wells. Był to właściwie pierwszy samodzielny sezon baletów pantomimicznych Henryka Tomaszewskiego

w Anglii. Pokazał wtedy „Gilgamesz“ i „Bagaż“, a w drugim programie były sceny takie, jak „Labyrynt“, „Sen“ i „Kobieta“ z 1963 r. oraz „Suknia“ i „Ogród miłości“ z 1966 r. Nie sposób było by omawiać tutaj cały repertar Tomaszewskiego którego ogólna liczba kompozycji czy scen, które mogą być pokazywane odrębnie sięga niemal pół setki licząc od 1956 roku.

Na czym polega nowość w ujęciu Henryka Tomaszewskiego sztuki ruchu ludzkiego? Na tym, że potrafił stopić w jednym tyglu widowiska chyba wszystkie gatunki ruchu ciała ludzkiego: a więc najpierw tańce, to jest baletowe, tańca wyrazistego czy nowoczesnego, poza baletowego i tańca charakterystycznego, zwłaszcza w jego postaci tańców ludowych, ale do nich dodał cały repertuar ruchów gimnastyki artystycznej i oczywiście, akrobatyki, bo nie ma nowoczesności bez akrobatyki, wreszcie — zależnie od tematyki — wszelkie ruchy tzw. użyteczne, czyli naśladowanie wykonywania jakiegokolwiek roboty czy postępowania w życiu codziennym. Tego melanzu próbowano przed nim, ale chyba nikt nie doszedł do tak — chciałoby się powiedzieć terminologią filozoficzną — organicznej syntezy.

Bez zagłębiania się w historię tańca można przypomnieć, że odnowienie zrutowizowanego tradycyjnego tzw. baletu klasycznego przyszło drogą swoistej rewolucji artystycznej z dwóch stron: z Ameryki i z Rosji, z tańca wyzwolonego od (baletowej) konwencji zainicjowanego przez — powiedzmy dla uproszczenia — Isadorę Duncan (1878-1927) i z baletów Sergieja Diagilewa (1872-1929) przy czynnym i twórczym współdziałaniu Michaiła Fokina (1880-1942). Tak trwałoby to do lat trzydziestych, gdy w Niemczech będących jeszcze wtedy krajem filozofów i reformatorów tanecznych (a imię ich legionu z Rudolfem Labanem (1879-1958) — pochodzącym z Węgier — na czele) powstała pierwsza synteza baletu

# HENRYKA TOMASZEWSKIEGO

klasycznego z tańcem wyrazistym i pantomimicznym. Dokonać tego udało się w dużym stopniu w latach 1828-1933 Kurtowi Joossowi (ur. 1901), który po nadejściu Hitlera znalazł schronienie w Anglii, ale zdołał kontynuować swą działalność artystyczną tylko do chwili rozwiązania się jego zespołu w r. 1947. Oddziałal swoim przykładem i poza Ocean, gdzie pod wpływem takich twórców tanecznych jak Marta Graham (ur. 1895) dokonała się synteza tematyki i ruchów wziętych z życia codziennego nie tyle z baletem, co z tzw. tańcem wyrazistym. Te dwa prądy złączyły się wreszcie u Henryka Tomaszewskiego i znalazły w wysokim stopniu zadowalające artystyczne urzeczywistnienie, osiągnięcie. Jeśli prześledzić rozwój repertuaru baletu pantomimicznego Tomaszewskiego dochodzi się do przekonania, że zachowując pierwiastki dramatyczne w swym pantomimicznym elemencie, rozwija się jednak coraz bardziej w kierunku tanecznym, a więc i baletowym, bez zatraćania całego bogactwa ruchów i z coraz wyraźniejszym szukaniem uroku zawartego w ruchu ludzkim, indywidualnym i zespołowym, a nie w anegdocie wypowiedzianej gestami. Pamiętając, że wyobraźnia ruchowa jest jednym z najrzadszych i najtrudniejszych do wyrobienia sobie typów talentu, nie dziwnego, że dopiero z czasem Tomaszewski dochodzi do mistrzostwa, którego wyrazem szczytowym jest jego kompozycja najstarszego eposu ludzkiego pn. „Gilgamesz“.

W swych realizacjach Tomaszewski rozporządza świetnie dobranym i zgranym zespołem wykonawców, o doskonałych warunkach fizycznych i znakomitym wyszkoleniu, nie tylko rozumiejących swą rolę w widowisku, ale i rozmiłowanych w swym kunszcie. Rozporządza dobrymi scenografami z Władysławem Wigurą na czele i bardzo oryginalnym akompaniamentem dźwiękowym, wykraczającym poza tradycyjną zinstrumentalizowaną muzykę, tonalną czy szmerową, ale obejmującą

też i efekty wokalne i mechaniczne właściwe tzw. muzyce konkretnej. Wszystko w wykonaniu zespołu Filharmonii Poznańskiej pod dyr. Augustyna Blocha.

W dążeniu do czystego ruchu Tomaszewski oszczędnie korzysta z charakteryzacji, kostiumów czy akcesoriów, hołdując najwyraźniej zasadzie, że ciało nagie lub prawie nagie jest najlepszym wyrazicielem najsztudniejszych spraw duchowych, religijnych czy filozoficznych. Bo od takich też nie stroni. To występuje w jego „Gilgameszu“, pre-biblijnym i pre-homerowym eposie sumeryjskim z 3-go tysiąclecia przed Chrystusem. Składają się na niego dzieje władcy kraju Uruk — Gilgamesza, który po utracie przyjaciela Enkidu buntuje się przeciwko śmierci, jako uosobieniu zła, i udaje się na poszukiwanie magicznego kwiatu zapewniającego wieczne życie. W drodze do krańców świata przeżywa różne przygody w których dopatrzeć się można prawzorów wątków biblijnych, homeryckich, w końcu dociera do Utnapisztim, prototypu Noego, który jednak nie może zdradzić tajemnicy wiecznego żywota, którą uzyskał w nagrodę za uratowanie z potopu ludzkości, ponieważ te okoliczności nie mogą się powtórzyć. W drodze powrotnej Gilgamesz wyławia z dna morskiego cudowny kwiat zapewniający wieczną młodość, ale kwiat ten zostaje pożarty przez potwornego węża, czym tłumaczy się odmładzanie węży przez zmiany skóry. Doznaje zatem Gilgamesz całkowitego zawodu i to jest pierwsza pesymistyczna filozofia wywiedziona ze starobabilońskiej mądrości. Jest jeszcze cały szereg innych wątków, nad którymi nie sposób się tutaj zatrzymywać, ograniczając się do wskazania, że motyw młodości jest czysto faustowski.

Powodzenie z jakim dzieło Tomaszewskiego spotkało się na Zachodzie tłumaczy się również i tym, że twórca jego poszedł po linii postulatów artystycznych, których reali-

cji domagała się estetyka nowoczesnego tańca widowiskowego. Postulaty te ujęte były m.in. w rozprawie pt. „Zagadnienia estetyczne tańca widowiskowego“ ogłoszonej w tomie III rocznika „Życie Sztuki“ z 1938 r. redagowanego przez Zygmunta L. Zaleskiego (1882-1967). Uzupełniono je częścią historyczną, ogłoszoną w nrze 5 miesięcznika „Wiedza i Życie“ z 1939 roku.

Przy tej sposobności warto sprostować błąd, który wkradł się do doskonałej poza tym recenzji James Kennedy'ego w „Guardianie“, w której twierdzi, że przed Tomaszewskim Polska nie miała zupełnie tradycji „mimiki lub tańca nowoczesnego“. Mimiki — zgoda! Ale tańca nowoczesnego było przed wojną b. wiele. W balecie było go brak, poza krótkimi okresami baletmistrzostwa Jana Cieplińskiego (ur. 1901), F. Parnella i Bronisławy Niżyńskiej (ur. 1891), ale na estradach koncertowych królował taniec nowoczesny, poczynając od występów Haliny Hulanickiej (ur. 1900?) i nie kończąc na Ziućie Buczyńskiej (ur. 1911?). Niestety spisane dzieje z tego okresu utknęły w archiwach warszawskiego miesięcznika „Wiedza i Życie“.

Zatem „Polacy nie gęsi...“ i swój taniec nowoczesny dobrze przed wojną zapoczątkowali. Nie umniejsza to jednak w niczym faktu że z powodu niszczyielskich skutków wojny trzeba było dobrych 20 lat, aby — bez materialnego nawiązania do tych początków — rozbudować zawarte w nich zarodki i osiągnąć wyniki, urzeczywistnione w sukcesach Henryka Tomaszewskiego, godnych szczególnego uznania i pochwały. Zostały one dobrze ocenione nie tylko w Polsce, ale i poza nią.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

**APELACJA**

Powieść

Cena: 15 sh, 2.25 dol. 9.00 F.

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

**OBCHÓD  
ŚWIĘTA NARODOWEGO 3-go MAJA  
W PARYŻU**

Tak jak co roku, Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny we Francji zorganizowała obchód Święta Narodowego 3-go Maja w Paryżu.

W Kościele Polskim odbyła się uroczysta msza święta na intencję Ojczyzny, z udziałem 21 pocztów sztandarowych polskich i francuskich, jak również pocztu American Legion.

Po południu w Domu Kombatanta odbyła się Akademia, którą zagał kol. M. Czarnecki, wiceprezes Federacji P. O.O. i prezes SPK we Francji, po czym referat pt. „30-lecie walk 1940” wygłosił red. W. Nowosad.

W części artystycznej wystąpiła młoda polska pianistka p. E. Sterlich, która odegrała szereg utworów Chopina i Szymanowskiego.

**WALNE ZEBRANIE KOŁA S.P.K. —  
LILLE**

W niedzielę, dnia 7 kwietnia br. odbyło się w Domu Kombatanta w Lille Walne Zebranie Koła SPK-Lille.

Przewodniczącym Zebrania wybrano kol. J. Żłobnickiego, sekretarza generalnego Oddziału SPK Francja.

Sprawozdanie z działalności Zarządu złożył kol. E. Tuszewski, prezes Koła SPK-Lille, po czym na wniosek Komisji Rewizyjnej zebrani udzielili jednogłośne absolutorium ustępującemu Zarządowi.

Do nowych władz Koła został wybrani: kol. Tuszewski — prezes, oraz kol. kol. Grabowski, Janowski, Stankiewicz i Witamborski. Do Komisji Rewizyjnej wybrano: kol. Rokicki — przewodniczący oraz kol. kol. Pełka i Srocki.

Na Delegatów na 10-ty Walny Zjazd Delegatów S.P.K. — Francja zostali wybrani kol. kol. Tuszewski i Sawicki, na zastępcę kol. Zubek.

W długiej i wyczerpującej dyskusji jaka wywiązała się nad programem przyszłej pracy nowego Zarządu została omówiona wyczerpująco sprawa ożywienia akcji Koła oraz wykorzystania Domu jako ośrodka akcji tegoż Koła.

Należy wyrazić nadzieję, że Dom ten, który został ostatnio wyremontowany, stanie się ośrodkiem, gdzie będzie się skupiać akcja Koła oraz innych organizacji niepodległościowych w Lille.

**Z ŻYCIA  
POLSKIEGO****DOROCZNE ZEBRANIE  
TOWARZYSTWA  
HISTORYCZNO-LITERACKIEGO**

Tradycyjne Doroczne Zebranie T.H.L. na pamiątkę Konstytucji 3-go Maja odbyło się we wtorek 5.V.1970 w salonach Towarzystwa.

Zebranie otworzył płk. M. Czarnecki, wiceprezes Towarzystwa po czym sprawozdanie z działalności T. H. L. oraz Biblioteki Polskiej w Paryżu za okres od 3.V.1969 do 4.V.1970 złożyła dr Irena Gałęzowska.

W części naukowej gen. J. Jaklicz, członek Rady T.H.L. wygłosił odczyt: „Wkład Polski do Drugiej Wojny Światowej”.

Po odczyt, liczni zebrani słuchacze przeszli do pięknie odnowionego salonu Biblioteki, w której została zorganizowana bogata wystawa rycin malarza polskiego z XVII wieku Jeremiasza Falck (Polonus).

Należy podkreślić z uznaniem wielki wkład pracy Kustosza Biblioteki p. W. Kreta, który z takim zapałem zorganizował tak bogatą i piękną wystawę rzadkich dzieł malarza polskiego.

**ZBIÓRKA  
NA POMNIK GRENADIERÓW  
POD LAGARDE**

W 30-tą rocznicę walk 1. Dywizji Grenadierów ma być w Lotaryngii wzniesiony pomnik na polu bitwy pod Lagarde (Moselle), o czym donosiliśmy już w poprzednich numerach naszego pisma.

Na apel gen. B. Duchy (patrz Nr 67 z lutego br.), powtórzony we Francji na łamach „Narodowca”, odpowiedziało wielu Grenadierów i ich przyjaciół, zarówno we Francji jak i w Belgii, Szwajcarii i Niemczech Zachodnich. Do Referatu Grenadierskiego SPK we Francji i na adres Delegata Zw. Polskich Grenadierów we Francji, kol. Żeleńskiego wpłynęło na fundusz pomnika, do pierwszych dni maja, po-

nad 6.500 fr. z samych źródeł polskich, i dalsza zbiórka trwa.

Równoległe podjęto zbiórkę na ten cel w społeczeństwie francuskim. Odezwy zostały skierowane do wielu gmin w Lotaryngii, gdzie pamięć Grenadierów pozostała wciąż żywa, oraz do wielu przyjaciół francuskich. Odezwy te znalazły echo tym większe, że jednocześnie na łamach wielkiego dziennika wschodniej Francji, „Le Républicain Lorrain” ukazał się niezmiernie serdeczny artykuł pióra Roger Bruge, opisujący bohaterską bitwę pod Lagarde i pamiętne przeciwnatarcie Grenadierskie, które wyrzuciło Niemców na północny brzeg kanału Marna-Ren.

Listy i składki ze źródeł francuskich wciąż napływają, tak że nie pora jest jeszcze podsumować wyniki tej zbiórki. Jednakże jedna wpłata wymaga już dziś szczególnego podkreślenia: oto pani Suzanne de Monfort przesłała czek na 1.000 fr. zaznaczając, że czyni to w imię pamięci swego męża, Henri de Monfort, wielkiego przyjaciela Polski, i że pieniądze te pochodzą ze sprzedaży jego książki „Le Massacre de Katyń”.

**FRANCUSKI  
KOMITET HONOROWY**

Akcja zbiórkowa na pomnik Grenadierów pod Lagarde i przygotowania do uroczystego odsłonięcia go w dniu 21 czerwca br. odbywają się pod patronatem Komitetu Honorowego, powołanego przez Referat Grenadierski SPK we Francji.

W skład tego Komitetu weszło 15 wybitnych osobistości francuskich, które odpowiadając na zaproszenie, wyraziły zgodę na uczczenie w ten sposób pamięci polskiego czynu zbrojnego we Francji w tragicznym roku 1940. Są więc w tym Komitecie Generałowie broni Bethouart i Koenig, b. ambasador francuski w Warszawie Leon Noël, byli ministrowie Messmer, Triboulet i Trorial, deputowani J. P. Palewski, Arnould, Delelis (mer m. Lens), dr H. Martin i Nass, senatorowie M. Martin i Weber, książę Andrzej Poniatowski i prof. Mazeaud. Wielu z nich zapowiedziało swą obecność na obchodzie w Dieuze i Lagarde.

**ZEBRANIE  
KOŁA GRENADIERÓW S.P.K.  
W METZ**

W dniu 12 kwietnia br. odbyło się w Metz doroczne Walne Zebranie Koła Grenadierów SPK w Metz, z udziałem 20 członków. Na zebranie to przybył z Paryża delegat zarządu głównego

SPK, p. Władysław Żeleński, przewodniczący Referatu Grenadierskiego na Francję, i on też przewodniczył zebraniu.

Koło brało udział we wszystkich uroczystościach patriotycznych organizowanych w Metz, Dieuze i okolicy.

Do nowego zarządu wybrani zostali: prezes — Władysław Krzysztoń, sekretarz — Jaskulski Jan, skarbnik — Jaskulski Maksymilian, zastępca sekr. — Dukiel Witold, chorąży — Sulek Tadeusz. Do Komisji Rewizyjnej weszli: przewodniczący — Kurowski Czesław, członkowie: Kurek Józef i Józwiak Wacław. Delegat na Zjazd SPK Oddziału Paryż: Krzysztoń Władysław, zastępca delegata Kurek Józef.

Przewodniczący Referatu Grenadierskiego Żeleński zdał sprawę z postępów zbiórki na pomnik Grenadiera pod Lagarde oraz z wpłat na medal pamiątkowy 30-lecia walk 1. Dywizji Grenadierów w r. 1940. Omówiono również przygotowania do uroczystości w dniu 21 czerwca w Dieuze i w Lagarde.

### OBCHÓD 3-go MAJA W LILLE Z UDZIAŁEM GEN. DUCHA

Doroczny, wielki obchód 3-Majowy w Lille, organizowany przez Kongres Polonii Francuskiej, był w tym roku połączony z uczczeniem rocznicy walk Armii Polskiej we Francji w r. 1940. Gościem honorowym uroczystości był gen. B. Duch, b. dowódca 1. Dywizji Grenadierów.

Ponad tysiąc młodzieży, maszerujących w strojach harcerskich, regionalnych, sokolich, K.S.M.P. i wielu innych organizacji, około 200 sztandarów, liczne rzesze Polaków z północnej Francji, zastępy Grenadierów, zarząd i delegacje Zw. Rezerwistów i b. Żołnierzy, SPK i innych organizacji kombatanckich — oto widok imponującego pochodu, który przeciągnął wśród szpalerów publiczności francuskiej, przez główną ulicę miasta, z katedry do pomnika Nieznanego Żołnierza, gdzie gen. Duch i prezes Kongresu Kudlikowski złożyli u stóp pomnika wieniec o barwach narodowych.

W czasie uroczystego nabożeństwa, serdecznym przemówieniem od ołtarza zwrócił się do Polaków biskup Lille Gand, a podniosłe kazanie okolicznościowe wygłosił dziekan Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu, ks. infułat Kwąśny.

Na zakończenie święta odbyła się uroczysta akademii w sali Opery. Program akademii wypełniły tańce, śpiewy, deklamacje i chóry zespołów młodzieżowych z wielu ośrodków polskich w Północnej Francji. Akcent powagi

i skupienia wyraził się w mowie generała Ducha, poświęconej upamiętnieniu epopei żołnierza polskiego w r. 1940.

### WIELKA BRYTANIA

#### WYCIECZKA OFICERÓW KOMPANII WARTOWNICZYCH Z NIEMIEC

Na zaproszenie Brytyjskiego Ministerstwa Obrony Narodowej przybyła do Londynu w pierwszych dniach maja grupa oficerów — mjr. H. Wesoły, dea polski, mjr. R. Szambora, por. Celtner, por. Wiśniewski, por. Smulczyński, por. Ciesielski, por. Preszer — z majorem K. G. Tait na czele, z Kompanii Wartowniczej (517 R.C.T.).

Goście zwiedzili Tower of London, Szkołę Wojskową w Aldershot, Instytut i Muzeum im. gen. Sikorskiego i byli przyjęci przez gen. W. Andersa. W sobotę, 2 maja, Stowarzyszenie Polskich Kombatanów podejmowało gości, którzy są członkami SPK, obiadem w Domu Kombatananta w Londynie. Udział w nim wzięli m.in. generałowie: K. Glabisz, S. Kopański i K. Ziemiński, prez. S. Soboniewski, sekr. gen. Z. Szadkowski, sekr. T. Krasoń.

Następnego dnia cała grupa uczestniczyła w uroczystym obchodzie święta 3 Maja zorganizowanym w londyńskim Westminster Cathedral Hall.

#### WIECZÓR TOWARZYSKI „POGONI“ W LEICESTER

Ruchliwe Koło „Pogoni“ w Leicester urządziło w Domu Kombatananta spotkanie członków i sympatyków, celem uczczenia 50-tej rocznicy „Zaślubin Rzeczypospolitej Polskiej z morzem“.

Zebranych powitał kol. Stefan Kugler, po czym płk. A. Dąbrowski opowiedział o swych wrażeniach z pobytu na polskim wybrzeżu, przed samym wybuchem II-giej wojny światowej w 1939 roku. Z kolei Teresa Surniak odczytała z uczuciem wiersz Balińskiego: „Westerplatte“, a harcerz-wędrownik Jan Czerniawski (junior) wypowiedział wiersz J. Wedowa: „Bałtyk“.

O przebiegu uroczystości z udziałem rządu polskiego, a pod patronatem gen. broni Józefa Hallera, mówiła p. Janina Kawalcowa, opisując barwnie przebieg historycznych „Zaślubin Rzeczypospolitej Polskiej z morzem“.

W części towarzyskiej wieczoru p. J. Socha opowiedział o kole ratunkowym „SS. Piłsudski“ wyniesionym przez fale morskie na brzeg w miejscu postoju 14 pułku Ułanów Jazłowieckich. Znajduje się ono w zbiorach muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. **Erka**

### S Z W A J C A R I A

#### WRĘCZENIE NAGRODY IM. ANNY GODLEWSKIEJ

W siedzibie Misji katolickiej w Marly-le-Petit odbył się uroczysty obchód 20-lecia powstania w Szwajcarii Polskiej Misji Katolickiej.

We własnym domu, w obszernej gustownie zbudowanej kaplicy mszę św. odprawił rektor Misji O. prof. I. M. Bocheński w asyście 5-ciu księży, którzy przyjechali na tę uroczystość. Po mszy św. i kazaniu o. Bocheński podał do wiadomości wiernych, iż Ojciec św. Paweł VI nadał godność prałata zasłużonemu duszpasterzowi ks. E. J. Frani i mianuje go swoim kapełanem. Na popołudniowej akademii Kazimierz Vincenz, przewodniczący komitetu nagrody im. ANNY GODLEWSKIEJ wręczył nagrodę przyznaną przez komitet Polskiej Misji Katolickiej w 20-lecie jej założenia. Nagrodę wynoszącą dawniej 5.000 franków fundator jej Julian Godlewski podwyższył do kwoty 10 tysięcy.

Sekretarz Koła SPK Burgdorf-Solura W. Szydłowski wręczył jubilatowi ks. prałata Frani wraz z gratulacjami frs. 100. Kiermasz Książki Polskiej całą swoją sprzedaż na uroczystości w wysokości frs. 520 przeznaczył do dyspozycji ks. prałata Frani.

#### DEDECIUS O LITERATURZE POLSKIEJ

Na zaproszenie Uniwersytetu w Heidelbergu znany poeta i tłumacz poezji polskiej Karl Dedecius rozpoczął tam cykl wykładów poświęconych współczesnej poezji polskiej. Dedecius nadał swym wykładom tytuł „Poezja jako dokument“ (Dichtung als Dokument). W programie wykładów, które obejmują szeroki krąg tematów wiążących poezję z życiem, figurują między innymi K. I. Gałczyński, Stanisław Jerzy Lec, Różewicz, Bienkowski i Zbigniew Herbert. Novum wykładów Dedeciusa, wnoszących powiew życia w czcigodne mury heidelberskiej Alma Mater, jest współudział w wykładach zaproszonych poetów (między innymi Zbigniewa Herberta).

#### POLONICA W JĘZYKU NIEMIECKIM

Ostatnio ukazały się w języku niemieckim nast. wydawnictwa: „Menschen in Ghetto“ („Ludzie w Getto“) w opracowaniu Jean Amery, nakładem Bertelsmann Sachbuchverlag. Książka

# Notatnik kulturalny

**WIECZÓR POŚWIĘCONY KAZIMIERZOWI WIERZYŃSKIEMU**, poecie zmarłemu przed z górą rokiem, odbył się w londyńskim „Ognisku“ w dniu 17 kwietnia br. Tematem wieczoru, zorganizowanego przez Fundusz Biblioteczny im. Wierzyńskiego, była twórczość okresu powojennego w wierszu i prozie rozszczepiona na poszczególne fazy, znaczone pobytami w Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech i Anglii.

Utwory Poety, w wyborze dokonanym przez Marię Danilewiczową i Leopolda Kielanowskiego, czytali: Edward Chudzyński, Krystyna Dygat, Leopold Kielanowski, Andrzej Marek, Wiada

## Z ŻYCIA POLSKIEGO

zawiera serię dokumentów i fotografii dotyczących martyrologii Żydów.

Marka Hłaski „Fo'ge ihm durchs Tal“ („Pójdź za nim przez dolinę“) w przekładzie Janusza Pileckiego, nakł. Kiepenheuer und Witsch Koln/Berlin.

Salomei Landmann „Die echte polnische Küche“ („Prawdziwa kuchnia polska“) nakł. Steingruber Verlag Stuttgart.

Przekład niemieckiej książki „Rozmowy z Gombrowiczem“ Dominique de Roux pt. „Gesprache“ nakł. Heske Verlag.

## URNA Z PROCHAMI J. STĘPOWSKIEGO

Urna z prochami Jerzego Stępowskiego zmarłego w październiku 1969 r. została złożona na cmentarzu w Bernie.

## WYSTAWA JELEMKIEWICZA

Krzysztof Jelemkiewicz, artysta-malarz przebywający od kilku lat w Szwajcarii miał w kwietniu br. wystawę swoich prac w Vevey. Była to 13-ta z kolei wystawa Jelemkiewicza w Szwajcarii w ciągu ubiegłych 3 lat.

## ZGON MARIII AEBISCHER

W maju br. zmarła długoletnia doręczyni Muzeum im. Tadeusza Kościuszkowicza w Solurze, Maria Aebischer, która na swoim skromnym stanowisku oddała duże usługi Muzeum.

K. V.

Majewska, Juliusz Sakowski, Witold Scheybal i Stanisław Szpiganowicz. Narrację wiążącą poszczególne etapy twórczości prowadziła Maria Danilewiczowa.

**WERONIKA BELL (IHNATOWICZ) I RYSZARD FRANK** dali w sali Ratuszowej na Ealingu koncert pieśni i melodii, z którego dochód w wysokości £30 — został przekazany na Dom Spokojnej Starości. Występy tych dwojga artystów ściśle związanych z dziejami 2. Korpusu przyjmowane były entuzjastycznie przez wypełniającą salę publiczność. Śpiewaczka, jak zwykle, wystąpiła we wspaniałych strojach częściowo od Diora, a częściowo pochodzących z jej kolekcji paryskich kostiumów scenicznych. W ten sposób starała się dać posmak swych sukcesów odnoszonych przez szereg lat na scenie paryskiego teatru Folies Bergère, ale jednocześnie jej ujmująca osobowość stwarzała atmosferę swobodnej swojskości, ułatwiającej nawiązanie bliskiego kontaktu z widownią.

Bogaty repertuar obejmował dwadzieścia kilka piosenek francuskich, włoskich, angielskich i oczywiście, polskich, spośród których wybijały się na czoło kompozycje Jacka Machniewicza, męża śpiewaczki. Jakkolwiek przyzwyczajona do występów na wielkiej scenie i do wykorzystania pełni swego głosu, to jednak, wydaje się, że szczególnie udatne efekty artystyczne osiągała właśnie w utworach nastrojowych wykonywanych raczej mezzovoce.

Niezrównanym akompaniatorem oraz pianistą we własnym repertuarze był weteran scen i nadscenek polskich Ryszard Frank, zarazem i kompozytor o dużej inwencji i wyczuciu stylu oraz umiejętności unowocześnienia harmonizacji melodii zdawało się już ogranych czy oklepanych. Konferansjerem wieczoru był jego główny organizator p. Franciszek Różycki, który na wstępie powitał obecnych na widowni na czele z ks. inf. Władysławem Stanisławskim, duchowieństwem z Ealingu i p. Irenę Andersową, małżonkę generała, który nie mógł przybyć na koncert.

**TEATR „SYRENA“ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY** wznowił w nowej obsadzie i reżyserii wystawioną przed 10 laty sztukę Mieczysława Lisiewicza „Powrót Pana Twardowskiego“, w roku 50-letniego jubileuszu pracy pisar-

skiej autora sztuki. Tym razem sztukę reżyserowała Barbara Reńska, doświadczona aktorka i świetny pedagog w zakresie sztuki teatralnej.

Pierwsze wystawienie „Twardowskiego“ wypadło w okresie „zabkowania“ teatru dla dzieci i młodzieży, gdy wazył się jego dalszy los. Tym razem w samym teatrze nie było już żadnych tego rodzaju nastrojów kryzysowych, gdyż „Syrena“ wykazała dobitnie nie tylko swą rację istnienia, ale i swą zdolność do trwania bez (względnie) na ciągle jeszcze istniejące trudności, jak brak własnej sceny.

Dając upust swym upodobaniom artystycznym do baśniowej groteski Barbara Reńska wykorzystała wszystkie możliwości w tym kierunku, zwłaszcza w drugim akcie sztuki, rozgrywającym się w zaczarowanym lesie. Poprzednio uwypuklony został też motyw cudownego kwiatu paproci, uzupełniający główny motyw legendy o Twardowskim. Jakby też pod wpływem tego kwiatu czarodziejskiego obsada sztuki uległa znacznemu odmłodzeniu. Twardowskiego grał już nie Artur Butscher, ale Benon Łastowski i choć trudno byłoby porównywać kompetencje aktorskie obu tych wykonawców, to jednak przyznać należy, że Łastowski zachował dobrą postawę w bogatym stroju szlacheckiego. Zosią była tym razem nie Barbara Łubieńska, ale Zosia Treszkówna, a tu komentarz zbyteczny, skoro nikt nie mógłby dorównać małej Zosi w kreacji jej roli. Z uwagi na postępujące zrównanie praw obu płci, Zygmuntem była nie Zosia Lisowska, ale Zosia Ejsmondówna, również bardzo na swoim miejscu. Matka również uległa tej metamorfozie odmłodzenia, skoro Barbara Reńska przekazała swą dawną rolę Luli Kowalskiej. Wreszcie Stasia grała Danusia Rał w harcerskich spodenkach. Kuśy też w tych czasach równouprawnienia przewielił się z Edwarda Chudzyńskiego w Janinę Jakubównę. Był przez to mniej groźny, ale nie mniej niebezpieczny. Kogut w wykonaniu Hanki Wąsikówny pozostał na swej wysokiej grzędzie artyzmu, który miał w wykonaniu Katarzyny Smoleńskiej. Baba-Zwada z rąk doświadczonej Janiny Sempolińskiej przeszła w niemniej sprawne Eugenii Magierówny — jako Baba-Fryga — swą dawną rolę Zielenicy odstąpiwszy dorodnej Violi Holi. Świetnie sprawiły się anonimowe dobre drzewa w fantastycznym lesie. I Odmieniec



się odmielił i z kochanego przez dziatwę Dziadka (W. Prus-Olszowskiego, dziś już śp.) przemienił się w równie pełnego humoru i komizmu Michała Kiersnowskiego.

Nie na tym koniec. Bo w tym złożonym widowisku występuje jeszcze Ożoga, w której to postaci zawodowego magika Delfosso zlużowała Marzenna Michałowska z dużym powodzeniem, dzięki magicznym urządzeniom zaprojektowanym przez pomysłowego dekoratora F. Matyjaszkiewicz, który wraz z żoną J. Matyjaszkiewiczową, projektującą kostiumy, zdołał utrzymać poziom plastyczny scenografii zaprojektowanej w poprzedniej inscenizacji przez mistrza Tadeusza Orłowicza.

To ogólne odmłodzenie b. sprawnie grającego zespołu, dobrze wróży temu teatrowi na przyszłość, a może i teatrowi emigracyjnemu w ogóle, bo z tej to pepiniery aktorskiej wyjść mogą dalsze kadry teatru dla dorosłych. Oczywiście, póki starczy energii takim społecznikom, jak ci, którzy znajdują się w Komitecie i Zarządzie Teatru „Syrena“ z Tadeuszem Sulatycim na czele i póki spełniać będą swe funkcje organizacyjne tak energiczne osoby, jak Olga Lisiewiczowa. W tym długim wyliczeniu zasłużonych nie powinno zbraknąć i autora kompozycji muzycznej Stanisława Szpiganowicza, oraz jej wykonawcy Bernarda Czaplickiego, jak również i sprawcy efektów świetlnych — J. Jasika.

**NOWA WYSTAWA HELENY WAWRZKIEWICZ** została otwarta w Drian Gallery kierowanej przez Halimę Nałęcz. W salach mieszczących się na pierwszym piętrze rozwieszono ćwierć setki dużych płócien o tematyce figuralnej lub kwiatowej, utrzymanych w przyjemnej, bogatej i swoistej kolorystyce. Nawiązują one do post-impresjonizmu, ale wyraźnie widać w nich przejście przez okres abstrakcjonizmu i wpływy pewnych ujęć barwnych okresu tzw. sztuki popularnej. Artystka-malarka ma za sobą już udział w 8 wystawach zbiorowych i obecna jest drugą jej osobistą wystawą w Drian Gallery. Na wernisażu okraszonym lampką wina przewinął się przez salę cały polski Londyn, który pogratulował pięknie rozwijającej się pracy artystycznej polskiej malarce. Studia swe rozpoczęła przed 20-tu laty pod kierunkiem prof. M. Bohusza-Szyszko, a obecnie sama jest kierowniczką działu sztuki w jednej z londyńskich szkół średnich dla chłopców.

Na parterze odbywało się równocześnie otwarcie wystawy angielskiego

malarza Johna Bellany (ur. 1942) złożonej z kilkunastu prac malarskich i rysunkowych utrzymanych w charakterze obsesji nieszczęściem i śmiercią i w nieinteresującej gamie kolorystycznej.

**WYSTAWA RYSUNKÓW RYSZARDA WAWRO**, 17-letniego spastyka, otwarta została w sali Polskiej YMCA i stała się przedmiotem szerokiego zainteresowania i zachwytów. Złożyło się na nią przeszło 300 prac rysunkowych wykonanych czarnymi lub kolorowymi kredkami. Jest to bogaty kalejdoskop tematów i scen wykonanych przez chłopca o bardzo słabym wzroku i zahamowaniach w mowie, utrudniających mu komunikowanie się ze światem zewnętrznym. Rysunki jego wykonywane w tych warunkach wykazują nie tylko zadziwiającą zdolność obserwacji, a e równocześnie duże poczucie kolorystyki, jak również i kompozycji zwłaszcza w złożonych scenach zbiorowych. Rozprawkę analityczną o tym fenomenie sztuki plastycznej napisał prof. Marian Bohusz-Szyszko, podkreślając jego fenomenalne zdolności kompozycyjne. Ryszard Wawro miał już wystawę swych prac w Edynburgu, gdzie mieszka z rodzicami i występował z pokazem swych prac rysunkowych na ekranie telewizji. Rysunki jego zaczynają znajdować coraz szersze kręgi nabywców.

**WIECZÓR AUTORSKI ALEKSANDRA JANTY-POŁCZYŃSKIEPO**, poety, eseisty, podróżnika i wypróbowanego przyjaciela Biblioteki Polskiej w Londynie odbył się w sali Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Zebranie zagał prezes Polskiej Rady Bibliotecznej płk. dr Stefan Zamoyski, przy czym odczytał tekst powitania nadesłany przez Mariana Hemara, który nie mógł wziąć udziału w wieczorze. Przybyły z Nowego Yorku Aleksander Janta odczytał dwadzieścia kilka utworów z przygotowanego do druku zbioru poezji pt. „Hecacontes“ liczącego dokładnie 100 wierszy. Tom ten podzielony jest na 6 rozdziałów poświęconych podróżom, przestrogom dla wnuków, śmierci i życiu itp. Są to utwory utrzymane w charakterze wierszowanych epigramatów, w których prawda miesza się z satyrą, zaduma z humorem, i czsto dzięki grze słów błyska dowcip, lub zaskakująca pointa. Ten rzadki wciąż rodzaj poezji intelektualnej autor podawał słuchaczom swym głębokim głosem z doskonałą dykcją. Nagradzany był kilkakrotnie gorącymi oklaskami.

Z wieczorem związany był pokaz nowego daru autora dla Biblioteki w postaci kompletu napisanych przez niego książek i wydawanych periodyków. Przed i po recytacjach odbył się circle towarzyski przy lampce wina z udziałem licznych przedstawicieli życia intelektualnego i artystycznego w Londynie. Nie brak było i tak odległych gości, jak dawny wychowanek uniwersytetu londyńskiego, a dziś profesor nauk politycznych Uniwersytetu w Vancouver (Kanada) — Władysław Józef Stankiewicz.

**DOROCZNY POKAZ „MAZURÓW“ I „MILLENIUM“** odbył się w sali ratusza na Hammersmith. Bogaty program taneczno-wokalny zawierał nowe układy w wykonaniu odmłodzonych zespołów, zwłaszcza dzięki udziałowi „Millenium“ z Ealingu znajdującego się pod opieką ks. K. Grzymały. Duża sala na przeszło 500 osób wypełniona była do ostatniego miejsca publicznością, która gorąco oklaskiwała popisy obrazujące wszystkie odmiany widowiskowe polskiej sztuki ludowej. Raz jeszcze należy podnieść zasługi p. Ireny Różyckiej, kierowniczkii artystycznej imkowskich „Mazurów“ i ealingowskiego „Millenium“ za szkolenie zespołów i układy taneczne, dalej — zasługę p. Heleny Kamińskiej w zakresie ich wyszkolenia śpiewaczego. Ofiarny akompaniament był p. Diki Rancigaj (Węgiel) i świetnie zgraneego zespołu „Polskiej Parady“ pod kier. A. Gipsy.

**EUNICE BARTELL-BIEDRZYCKA** kontuuje pracę swego przedwcześnie zmarłego męża, tancerza i baletmistrza śp. Leonarda Biedrzyckiego. Jako kierowniczka szkoły baletowej „Legat“ w Goudhurst (Kent) urządziła ona pokaz w King George's Hall w gmachu londyńskim brytyjskiej YMCA. Na program złożyły się dwa balety polskie w układzie L. Biedrzyckiego: „Umarł Maciek, umarł“ oraz „Polskie wesele na wsi“. Resztę programu wypełniły kompozycje taneczne p. Eunice Biedrzyckiej.

**NICKY JOHNSON W BALECIE BRYTYJSKIM** zaczyna zbierać laury i uważany jest za wschodzącą gwiazdę. Przed 10 laty grał znakomicie młodocianego Fryderyka Chopina w pierwszym przedstawieniu „Zaczarowanych nocy“ Mieczysława Lisiewicza, wystawionych przez Teatr „Syrena“ dla dzieci i młodzieży. Obecnie mając 22 lata występuje w czołowych rolach w zespole Królewskiego Baletu w Covent Garden.

J. Ostr.

## S Z C Z Ę Ś C I E

Podpierając się kosturem Szymon wolniutko posuwał się w stronę cmentarza. Zapatrzony w ziemię nie odpowiadał na pozdrowienia zdziwionych jego widokiem mieszkańców. Od kilku bowiem lat nie pomagał już na plebanii, ani w kościele i nie wychodził prawie z domu. Siedział pod piecem i drzemał, albo przebierał różaniec cichutko mrużąc jak kot, co wygrzewał się obok niego.

Dawniej — wiosną i latem, niemal każdej niedzieli wspinał się na wzgórze cmentarne, gdzie wśród krzaków bzu i czeremchy, które ongiś zasadził — stał pochylony nad grobem krzyż i koślawa ławka. Tam przesiadując dumał, rozpamiętywał i kajał się za jakąś tam winę...

Starzy pamiętali. Potrzęsali głowami współczująco a ze zrozumieniem. „Niech se tam chodzi. Niech se tam wspomina, chociaż Bóg świadkiem na darmo ta udręka... Gdzież tam jego wina...”

Młódz wszakże pokpiwała i nieraz staremu dokuczała. Patrzył na nich zażawionymi oczyma, uśmiechał się smutno i szedł dalej. — Eh, co tam wiecie zbereźniki... Co tam wiecie o miłowaniu... Wchodził na szczyt dysząc ciężko i sadowił się na ławce. I zaraz mu się widziały błękity oczu i lica jasne, otoczone wieńcem złota, co błyszczało jak łan pszenicy w słońcu... I taką ją wciąż pamiętał i zapomnieć nijak Kubowej żony nie potrafił.

— Eh, Kuba, Kuba. Brat sedeczny, druh jedyny — przymykał oczy i rozrzewniał się. I zaraz jakby na usprawiedliwienie tej poufalej zażyłości — chociaż ty powinowaty księdza dobrodzieja, a ja znajda-sierota — kochali my się jako bracia...

Oj cknęło się Szymonowi za Kubą cknęło, kiedy ksiądz bratanka do miasta na nauki posłał. Wspominał — jak to literki w elementarzu razem składali, potem książki razem czytali... Eh, tam czytali! Kuba czytał. Ten zaś fujarki a inne różności z drzewa strugał i druha wciąż prosił: „czytaj Kuba, no czytaj o tych krajach co som daleko...” A

jak to w pole, a do lasu uciekali, kiedy [dobrodziej do roboty zaganiał, a psoty i figle stroili, aże gospodarze na skargi przychodzili... Eh, Kuba, Kuba. W ogień by za nim poszedł, tak go miłował.

Odjeżdżał Kuba w świat rad jak ptaszek wypuszczony z klatki. Dobrodziej chustą nos wycierał, lzy maskując, a on — Szymon, choć potem całą noc przebudzał — oczy miał suche. Ale żal długo duszę mu świdrował aż pod sercem bolało.

Szły wiosny, lata jesienie i zimy. Życie miało spokojnie, bez wstrząsów, z dala od wielkiego świata, w którym przebywał Kuba. Szymon bydlę pasał, ciesielką się parał, księdzu na plebanii i w gospodarstwie pomagał. Ot, zwyczajnie. Pracował żeby nikomu ni ciężarem ni zawadą nie być. Czasem brał książkę do ręki, ale litery nie składały się tak łatwo jak Kubie; skakały mu przed oczyma; za wiele ich było, żeby pojąć co znaczą i o czym mówią. Co innego listy Kubie. Tam zawsze jakieś dobre słowo dla siebie znalazł i raźniej robiło mu się na sercu. Kuba pamięta, Kuba wspomina.

A jakaż radość go ponosiła na wieść o powrocie przyjaciela. Pamięta dobrze — bo dom na przyjazd młodej pary przysposobić pomagał — gdyż Kuba nie sam przyjeżdżał. Nawet we wsi obejścia i chaty porządkowano, aby nijakiego wstydu nie było. Kubę przecie wszyscy lubili i „pani“ ciekawi byli okrutnie.

Szymonowi znów widzą się oczy świetliste, błyszczące jako gwiazdki na niebie. Patrzył nieraz na te śliczności i języka w gębie zapominał — aż Kuba zataczał się ze śmiechu. A on rad by modlił się do niej, tylko strach go oblatywał, że grzech.

Dziś — wyraźniej niż zawsze — widziało mu się jego życie. I jak to Kubie dom budować pomagał, sad założyć, pani królestwo kwiatowe pielęgnować... Jak to z czasem nowe domy pod lasem wyrastały, nad rzeczką fabryka, a potem osiedle całe... I o tym jak z Kubą na pomiary jeździł i na budowach pracował, a zimą w ich domu przesiadywał i grzał

się w ciepłe tej serdeczności. A już najmilej bywało, kiedy Kuba ich dziecińskie lata przypominał. Ożywiało się Szymon i prosił — „mów Kuba, mów — jako to my zawsze razem...” Pani wtedy główką kręciła, uśmiechała się słodko niczym święta z obrazka. A nieraz wybuchła śmiechem tak cudnym, że Szymon drętwiał. Gorącość na poły ze strachem go przejmowała i parzyła serce. Wstawał i bez pożegnania wychodził.

— Dziwny człowiek — mówiła pani do męża — i nieszczęśliwy.

— Ale poczciwy i oddany. Jemu jednemu powierzyłbym mój Skarb, gdyby zaszła potrzeba — całował czoło żony Kuba.

Ile razy Szymon przychodził na cmentarz, tyle razy przeżywał tamte czasy. Musiały to być czasy szczęśliwości wielkiej, bo kiedy jednego dnia to szczęście runęło jak dom przez niego stawiany, a śmierć zdmuchnęła światełko, które zda się było jedyną jasnością w życiu Szymona — świat jego rozpadł się w gruzy...

Szymon ocknął się z zadumy zbudzony hałasem. Z pobliskiej szkoły wybiegły dzieci i uciekały przed ciemną chmurą. Jakoż zerwał się wiatr i zatargał drzewami. Błyskawica rozdarła niebo, zahuczał grzmot długo i przeciągle. Krzyk dzieciarni, pioruny i wycie wichru pomieszały się naraz z warkotem samolotów, świstem bomb lecących na osiedle, z terkotem karabinów maszynowych, lamentem ludzi i rykiem bydła.

Przestraszony zerwał się biec hen, przed siebie — na ratunek, ale opadł bez siły i jęcząc szarpał mogiłę — tak jak ongiś — wyszarpywał palące się deski odrzwia... Płomienie parzą, wałą się belki... Ale on nieświadom niebezpieczeństwa idzie prosto w ogień, skąd słychać wołanie: Szymonie ratuj, Szymonieeee! I nie może zrozumieć ani pojąć, dlaczego trzymają go i nie puszczają, kiedy pani woła, wzywa pomocy...

(Dokończenie obok)

# Grydzewski i jego „Wiadomości“

Tytuł niniejszego artykułu należy rozumieć w dosłownym sensie. Nie ma już Grydzewskiego — nie ma już jego „Wiadomości“. Pozostała tylko nazwa pisma, którego treść, polityka wydawnicza, charakter i cel polityczny, wyrozumiałość i szacunek dla autorów o sprzecznych poglądach, a nawet o różnych poglądach od samego redaktora, uznawanie prawa piszących do pisania zgodnie z prawem natury i psychologii swoistym i naturalnym dla nich stylem, różnorodność poruszanych tematów itp. — już nie istnieją. Są więc „Wiadomości“, ale są to inne „Wiadomości“, które niewiele mają wspólnego z Grydzewskiego „Wiadomościami“.

## WYMOGI DLA PISMA NA OBCZYŹNIE

W kraju, w normalnych i pokojowych warunkach istnieją czasopisma (zwłaszcza tygodniki i miesięczniki) poruszające w pierwszym rzędzie zagadnienia zawodowe i specjalne, których zadaniem jest pogłębianie wiedzy z dziedziny różnych dyscyplin naukowych, czasopisma propagujące i broniące jakiejś idei politycznej, religijnej lub społecznej, wreszcie periodyki poświęcone w pierwszym rzędzie literaturze pięknej, jej krytyce i ocenie dzieł literackich itp.. Przedwojenne „Wiadomości literackie“ miały właśnie ten literacki charakter.

Na obczyźnie jest inna sytuacja, albowiem z braku dostatecznej ilości

## S Z C Z Ę Ś C I E

Szymon uniósł się na kolana i darł sukmanę na piersi, jakby chciał wyrwać bolesną drzazgę co tkwiła tam przez wszystkie lata, lub zastygła w bezruchu i zdawał się nastuchiwać czy doleci go tu wołanie: Szymo... Szymonie... Pewno jęknął rozdzierająco. A wiatr porwał usłyszał, bo zerwał się nagle i okrzyk żalu i rozpacz i męki ludzkiej wraz z ostatnim tchnieniem Szymona poniósł go w przestrzeń niebieską.

czytelników, a tym samym bardzo ograniczone w swym nakładzie, pismo winno zawierać, w miarę możliwości, wszystko co może interesować inteligentnego czytelnika, to jest artykuły z dziedziny literackiej, politycznej, socjalnej, prawnej itd., słowem tak redagowane, aby każdy czytelnik mógł znaleźć w nim to, co go interesuje. Grydzewski rozumiał to i dlatego nie tylko zmienił tytuł pisma, lecz nawet przekształcił swe pismo w „służącą do wszystkiego“. Był to jeden z powodów umożliwiających wydawanie pisma na uchodźstwie w niezmiernie trudnych warunkach i przy skąpych zasobach finansowych wydawnictwa.

Takie pismo może redagować tylko człowiek bardzo inteligentny i wszechstronnie wykształcony, a ponadto mieć bardzo dobrze rozwinięty instynkt i intuicję, albowiem jest rzeczą niemożliwą, aby jeden człowiek mógł opanować arkany wiedzy ludzkiej we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza że „uzdolnieni“ grafomani potrafią przelewać z pustego w próżne, imitując styl ludzi nauki i wiedzy, a tym samym zachwaszczać tego rodzaju pismo.

Jakim cudem potrafił Grydzewski w takiej sytuacji odróżnić ziarno od plewy i uchronić swe pismo od najazdu grafomanów, którzy są plagą dla każdego redaktora, pozostaje zagadką nie rozstrzygniętą.

Z drugiej strony, kierując się swym instynktem i intuicją Grydzewski drukował niekiedy artykuły początkujących i nieznanych mu autorów, nawet jeżeli pierwsze ich elaboraty nie były na wysokim poziomie, ale świadczyły o znajomości przedmiotu i zdradzały ukryty talent literacki, a tym samym były widoki, że ośmielenie ich w ten sposób do pisania może przyczynić się do dalszego rozwoju talentu pisarskiego. Stosując tę metodę Grydzewski rzadko doznał zawodu, albowiem często dobrze zapowiadający się, lecz początkujący, pisarze po pierwszych niepowodzeniach rezygnują z dalszego pisania, nie zdając sobie sprawy z tego, że są one wynikiem braku ru-

zyniosła pisarskiego. Wiedział Grydzewski, prawdopodobnie z własnego doświadczenia, jak wielką zachętą jest dla początkującego pisarza do dalszej pracy nad sobą i do pogłębiania kunsztu pisarskiego widok pierwszej rzeczy pojawiającej się w druku. Cieszy się on jej widokiem jak kura po zniesieniu pierwszego jajka. Np. francuski powieściopisarz Proust, nie wierząc swym oczom, gdy jedno z czasopism zamieściło jego pierwszy artykuł, sprawdził, przeglądając inne numery pisma w kilku kioskach, aby się upewnić czy to istotnie prawda.

## INNA STRONA MEDALU

Nie znaczy to, że wszyscy byli zadowoleni z Grydzewskiego i jego „Wiadomości“ i że nikt nie miał do niego pretensji, nie spierał się z nim i nie robił mu zarzutów.

Jeżeli chodzi o piszących do „Wiadomości“ to wielu z nich drażnił i irytował jego przesadny puryzm językowy. Grydzewski nie znosił wyrazów i zwrotów pochodzenia obcego i z zasady tłumaczył je nieudolnie na „język polski“, chociaż miały one już obywatelstwo w języku polskim i były w nim zadomowione. Często powodowało to zmianę myśli autora, nadając inny sens treści artykułu, zwłaszcza, gdy wyraz obcego pochodzenia nie miał dokładnego odpowiednika w języku czysto polskim. Przyczyniało się to też do zubożenia języka na łamach „Wiadomości“, a tym samym często do braku elastyczności, precyzji i dosadności ekspresji.

Osobiście będąc przeciwnikiem skrajnego puryzmu językowego i będąc jedną z wielu ofiar Grydzewskiego, które doznały zniekształcenia treści artykułów i zubożenia ekspresji wskutek jego poprawek, napisałem artykuł na ten temat. Nie liczyłem na to, że Grydzewski wydrukuje artykuł, bo było to równoznaczne z rzucaaniem kamieni do jego ogrodu w postaci ostrej krytyki jego stanowiska i poglądów. Chodziło mi tylko o to, aby przeczytał artykuł i ewentualnie

złagodził rygory co do czystości języka polskiego. Ku memu zdziwieniu i zaskoczeniu artykuł mój pt. „O precyzję i zwiezłość języka“ został wydrukowany w „Wiadomościach“ z 4 lutego 1965 r.

Pomimo i nie zważając na to, że autorytet w dziedzinie językoznawstwa Ignacy Wieniewski, napisał w „Dzienniku Polskim“ („Kącik językowy“) konstruktywną i bardzo pochlebna recenzję o moim artykule, Grydzewski pozostał nadal nieugięty i wierny swemu nieosiągalnemu ideałowi puryzmu językowego, ku rozgoryczeniu i udręce wielu osób piszących do „Wiadomości“.

Fakt ten świadczy o daleko posuniętej tolerancji i pobłażliwości dla osób o odmiennych od jego poglądów, chociaż w kwestiach, co do których był wewnętrznie przekonany, że ma absolutną rację, był nieustępliwy i cudze poglądy nie miały na niego wpływu.

## OBCENY STAN RZECZY

Ktoś napisał po śmierci Grydzewskiego, że pisanie do „Wiadomości“ za jego życia było honorem dla piszącego i że drukowanie przez niego artykułów było dowodem wyróżnienia autora, wśród szarej masy trudniących się zawodem pisarskim. Istotnie, tak było, albowiem honorarium, które płacił piszącym, było bardzo niskie i raczej symboliczne, przy czym płacone nieregularnie i z dużą zwłoką. Mimo to pisali dla honoru do „Wiadomości“ najlepsi pisarze, klóćąc się i ujadając się z nim o puryzm językowy.

Osobiście nie będąc pisarzem, lecz tylko piszącym, doznałem również honoru i zaszczytu w postaci zamieszczenia przez Grydzewskiego w „Wiadomościach“ licznych moich artykułów. Nie miałem złudzeń co do ich cienkiej, a może żadnej, szaty literackiej. Musiały one jednak chyba mieć inną wartość, jeżeli Grydzewski zamieszczał je w swym piśmie. Rozumiał on, że styl literacki przez duże „S“ nie jest absolutnym i jedynym warunkiem dającym podstawę do kwalifikacji prac do druku w tego rodzaju piśmie, które mierza do zaspokojenia potrzeb szerokiej rzeszy czytelników na ucho-  
dźstwie.

Niemożliwe jest zresztą (wbrew mniemaniu Chmielowca) pisanie o medycynie, ekonomii, prawie, fizyce itp. wierszem, lub nawet językiem właściwym dla literatury pięknej. Byłoby to napuszone, bombastyczne, śmieszne i niedorzeczne, a ponadto płytkie i nieprecyzyjne. W dodatku co jest dla jednego piękne dla drugiego może być wstrętne i obrzydliwe. Pamiętam jak profesor medycyny sądowej Shilling-Siengalewicz widząc podczas pokazowej sekcji zwłok dla studentów prawa niezwykłą wątrobę trupa wykrzyknął: Jakież to piękne! — i kazał swemu asystentowi zakonserwować ją w spirytusie. Dla jego uczniów wątroba ta była czymś obrzydliwym. Można więc było pisać o tej wątrobie tylko językiem i stylem fachowym, czyli tzw. „użytkowym“ i pomimo entuzjazmu piszącego bez poezji.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że wypociny grafomańskie nie mogły prześliznąć się pod „okiem i szkiełkiem“ Grydzewskiego.

Obecnie do „Wiadomości“ nie piszę. Od czasu choroby Grydzewskiego jeden tylko mój artykuł został zamieszczony w tym piśmie i to na na początku jego choroby. Od dłuższego czasu nawet nie czytam tego pisma. Powodem tego jest to, że wskutek zanęchania pisanie do „Wiadomości“ niektórych pisarzy, którzy w moim pojęciu interesująco pisali, pismo stało się dla mnie nieciekawe i nieinteresujące. Brak jest też obecnie wspaniale oraz bardzo interesująco i wnikliwie pisanej przez Grydzewskiego rubryki pt. „Silva rerum“, która niekiedy natchnęła i pobudziła mnie do napisania artykułu. Ze względu na często podobną tendencję treści „Silva rerum“ do tendencji treści niektórych moich artykułów, można sądzić, że gdyby obecnie Grydzewski zmartwychwstał, a nie objął redakcji „Wiadomości“, jego „Silva rerum“ nie ozdabiałaby łamów tego pisma.

W artykule pt. „Człowiek niezastąpiony“ („Tydzień Polski“ z 28 lutego br.) Marian Hemar pisze, że „od razu ... w pierwszym tygodniu jego (Grydzewskiego) choroby Sakowski wynalazł zastępcę-redaktora, dokonał wyboru najszcześniejszego i najtrafniejszego: oddał redakcję Michałowi Chmielowcowi“.

## NIECH POŁKNIE

Pułkownik Marian był w złym humorze. Pełen życia, werwy i dobrego zdrowia został bez pracy mając 60-kę na karku, kiedy firma handlowa w której pracował od kilkunastu lat włączyła się do innej, większej instytucji i wszyscy urzędnicy w starszym wieku zostali wypuszczeni „na trawkę“. „Za późno na zaczynanie nowego życia, za wcześnie na mogiłę“ — prychał pan Marian. Był całkowicie zniechęcony do nie dających żadnego rezultatu dalszych poszukiwań nowego zajęcia. „Raz już zmarnowałem kawał życia, dzięki bolszewikom, którzy siedzą w Warszawie, a teraz marnuję resztę z racji mody na „młodych“, na których stawiają wszystkie społeczeństwa nazbyt jednostronnie. Ileż więcej mieliby ze mnie pożytku, niż z tych tysięcy „młodych“, którzy pasą się marijuaną i haszyszem i większość czasu trawią na protestach, „zasiadaniach“ i kopaniu policjantów!“

Pani Kasia była optymistką: „Nie wszyscy tacy! Większość jest pozytywna. A i ty nie będziesz się tak długo marnował. Miej trochę wytrwałości! Na pewno coś sobie znajdziesz. Nie wszyscy, przecie, myślą, że jedynie młodzi coś znaczą w społeczeństwie. Wiadomo, ile trudu, eksperymentowania odejmuje człowiekowi doświadczenie...“ Pocięcha — pocięchą, a pan Marian odsunął filiżankę, pozostawiając pół śniadania nietknięte. „Po co utrzymują nas, ludzi starszych, w dobrym zdrowiu, badając, lecząc i

To, że Hemar nie zgadza się w wielu sprawach z Chmielowcem, zdaniem jego, nie ma istotnego znaczenia, albowiem często nie zgadzał się i klócił się z Grydzewskim. Wystarczy, że pismo jest w dobrych rękach.

Każdy rozsądny człowiek zgodzi się z tym stanowiskiem, albowiem powszechna zgoda i osiągnięcie jednolitych poglądów na te same rzeczy są nieosiągalne na tym świecie.

Aleksander Stambrowski

# SWÓJ JĘZYK, KTO MÓWI ŻE STARY

podtrzymując w dobrej formie? Po co te szpitale, opieki społeczne, sanatoria? Powinni regulaminowo zalecać nas po 60-ce bezbolesnym sposobem i prędko spalać w krematoriach, aby luźniej było dla młodych, produkowanych obecnie seryjnie po kilka sztuk na raz! Po co ta sprzeczność o pozorach humanitaryzmu, jeżeli człowiekowi w pełni sił życiowych odejmuje się prawo do pracy, pozostawiając jedynie za całe zajęcie skopanie grządkki w ogrodzie lub spacer z pieskiem. Owszem, są szczęśliwi, którzy tylko czyhają na tę błogosławioną chwilę, kiedy, nie trując się pracą w przygodnym zawodzie mogą powrócić wreszcie do swego właściwego. Ale ci pracują nadal owocnie i twórczo w dziedzinie, która jest ich przeznaczeniem. Moim przeznaczeniem było być żołnierzem. Wyjęto mi broń z ręki i włożono pióro. Chcę nadal, bez skargi, coś tym piórem wypracować, jeżeli nie mogę pracować inaczej“.

„Spróbuj dziś pójść do Kombatanów“ — mówi pani Kasia. „Nie wierzę w celowość. Ale niech — tam! Pójdę. Ale to już ostatni raz. Skończę tę poniżającą wędrówkę!“

Stanowisko pracownika w Urzędzie Rejestracji Druków Państwowych było przez długi czas nieobsadzone. Zapewne przyczynił się do tego niezbyt pociągający rodzaj pracy, jak i niskie uposażenie. Zwrócono się, więc, do instytucji polskich z propozycją przysyłania reflektantów. Obiecano pułkownikowi zasięgnąć informacji w tym urzędzie, przedstawiając jego curriculum vitae. Wiek. Zawód. Narodowość. Stanowiska zajmowane. Żonaty. Kolor włosów, oczu...

W parę dni później przyszła nad wyraz uprzejma odpowiedź, gdzie, zawinięta w wacie grzeczności i usprawiedliwień spoczywała chłodna żyłtka odmowy: nie mamy odpowiedniego stanowiska dla osoby w tym wieku i o takich kwalifikacjach. Nie jest więc potrzebne osobiste spotkanie ani interview.

„Jeżeli tak z nami zaczynają — musimy i my zmienić taktykę — zawyrokowała pani Kasia. — Trzeba szukać zajęcia koniecznie przedstawiając się osobiście. Jak zobaczą jak młodo i czerstwo wyglądasz — od razu zmiękną“. „Ależ gdzie tam! — odparł zniechęcony pułkownik. — W pierwszych słowach pytają o wiek“. — „Właśnie! — podchwyciła pani Kasia. — „Musisz im powiedzieć, że masz o 10 lat mniej. Nikt, nigdy, tutaj nie zagląda do metryki, a ty śpiewając ujdiesz za 50-latką“. Pułkownik nasrożył się gniewnie: „Moja pani! Całe życie przeszedłem uczciwością i uczyłem jej zawsze mych podwładnych. Nie zmienię się na starość, choćbym miał żebrakiem zostać!“

„Po co ten patetyzm! — zawołała żona. — Mamy dach nad głową i te parę groszy na chleb codzienny — nie ma żadnej mowy o żebraniu! Nie rozchodzi się tutaj o głodowanie, ale o pełnię życia! A ty nikogo nie oszukujesz, zatajając swój wiek, bo dajesz w zamian pracę taką, jakiej oczekują od człowieka 50-letniego. Oni ukuli sobie schemat, że 60 lat to granica, ale ten rachunek nie zawsze się zgadza, bo często 50-letni są zupełnymi starcami, a 70 i 80-latkami żyją pełnią życia i tworzą — jak na przykład w sztuce — arcydzieła, z których potomność śmiało może być dumna — czy mam ci przypominać Rubinsteina, Picassa, Matisse'a, Russela, Cassalsa? ...Zmiana wieku podana tym schematystom nie będzie żadnym oszukaństwem — będzie fortelem, jak na przykład było nim opatrzenie tłumaczenia Descartesa przez Boya napisem „Tylko dla dorosłych“. Brał się na to poszukiwacze erotycznej sensacji, a znajdowali wspinały traktat filozoficzny. I wielu na tym skorzystało“. „Nie. Nie. I nie. Rozumowanie twoje jest zajmujące, ale ja go nie przyjmuję“. „Marianie, proszę cię, nie odrzucaj. Zastanów się nad tym dłużej“. — Urwała, bo pułkownik wstał gwałtownie z fotela, szybko przemierzył pokój i słychać by-

ło jak trzasnął za nim zamek drzwi wejściowych.

Ale pani Kasia nie dawała tak szybko za wygraną. Udała się więc następnego ranka do Biura Pośrednictwa Pracy, mieszczącego się na jednej z centralnych ulic miasta. Trafiła dobrze. Kierownikiem był starszy pan. W wieku jej męża. Zamknęli się na dobre półgodzinki rozmowy poufnej.

W dwa dni później pułkownik został wezwany telefonicznie do tego biura z wiadomością, że nadarza się okazja pracy. —

Rozmowa z kierownikiem biura była przyjazna i krótka. Skierował pułkownika do miejsca, gdzie poszukiwano pracownika. „Ale, ale! Proszę pana — złapał wychodzącego już na interview pana Mariana kierownik biura. — Powiedziałem już tam o panu wszystko, co panu oszczędzi dłuższej rozmowy. Co do wieku: podałem: 50 lat. Niech mnie pan nie wsypie! To są nasze metody, które pana nie dotyczą. Ale nie może pan nam zadać kłam! Zrezygnuj, gdy pana zobaczę...“

W trzy dni potem pułkownik objął pracę ... w Urzędzie Rejestracji Druków Państwowych. Pracuje już tam 10 lat.

## THE POLISH TRUSTEE ASSOCIATION LTD

(Polskie Stowarzyszenie Powiernicze)

sporządza testamenty,  
likwiduje spadki,  
uzyskuje i przekazuje renty  
do Polski.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.  
Tel.: 584 0747

W KSIĘGARNI SPK  
KUPISZ KAŻDĄ  
KSIĄŻKĘ!

# CZYŚMY SIĘ WIDZIELI?

## OPOWIADANIE

Z Dieppe jechałem do Paryża. Pociąg zapełnili turyści: Anglicy, Amerykanie, powracający z Anglii Francuzi. Było gwarno od młodzieży, która dawała wyraz nieustannej radości. Długonogie, w krótkich spódniczkach nastolatki, panie w średnim wieku w spodniach, alpinści z plecakami i zwojami sznurów na nich.

Przejazd statkiem był rozkoszą, teraz zaczynała się monotonia pociągu. Staralem się wyszukać jakiś spokojny przedział, by się położyć. Jest! Jestem sam, pociągam haust z flaszki. Zamykam oczy. Stuk, stuk, jedziemy. Otwieram oczy, bo trzasnęły drzwi. Kontrola dokumentów. Za chwilę konduktor dziurkuje bilet. Od czasu do czasu wyglądam oknem. Słodka Francja, złota od ciężkich zbóż. Rzeka z jednej lub z drugiej strony, mostki przez które przesuwają się samochodziki lub mikroskopijne postacie ludzkie. Nasz pociąg mija stacyjki nie zatrzymując się na nich. Zatrzymuje się tylko raz, w Rouen. Oto już widać przedmieścia tego miasta.

Zgiełk dworca. Wszyscy się śpieszą, bo pociąg stoi tu tylko kilka minut. Ludzie z walizkami przesuwają się korytarzem. Ktoś otwiera moje drzwi. Rzuca walizkę na półkę. Siada, i zwraca się do mnie czy może zapalić? Patrzymy na siebie. Otwieram szeroko oczy. On również patrzy — tak mi się przynajmniej zdaje — na mnie badawczo. Przecież to Tadek Kabel, mój kolega gimnazjalny. I on mnie poznał. — Stefek! — Tadius! —

Opowiadamy o sobie. Właściwie drogi nasze rozeszły się na kilka lat przed rokiem 1939-tym. Studiowaliśmy na innych uczelniach choć w naszym rodzinnym Lwowie. Chyba na rok przed wybuchem wojny ożenił się ze śliczną panną. Potem wybuchła wojna i zaczął się ten galimatias, który trwa do dziś. Tadeusz wspomina nasze czasy studenckie, a raczej szkolne. Śmiejemy się, wspominając kawały jakie robiliśmy belfrom. O tym jak kolega Fityk „zawalił“ gimnazjum. A

było to tak. Gimnazjum było w starym najmniej 100-letnim gmachu, wszystko się ruszało. „Chodzą“ podłogi, trzęsły się mury, podparte nawet w pewnej części drewnianym rusztowaniem. Zaczęto już budowę nowego gmachu, ale trzeba było czekać kilka miesięcy na jego ukończenie. Mimo, że gmach trząsał się jak okręt pod stopami kilkunastu chłopaków, trwał i lekcje odbywały się jak zawsze. Kolega Fityk postanowił go „zawalić“. Na ścianie naszej klasy wisiał olbrzymi obraz, co przedstawiał nie pamiętam, prawdopodobnie portret prezydenta państwa, w ciężkiej ramie. Kilka albo kilkanaście kilogramów wagi. Na grubym haku.

Nasi nauczyciele byli nerwowi. Do klasy wbiegali dobrze po dzwonku, zadyszani, drzwi zwykle nie zamykali, ale zatrzaskiwali. Wyglądało to tak. Dzwonek. Siedzący jak trusie. Profesora jeszcze nie ma. Każda minuta, która wolniutko upływa, to na naszą korzyść. Profesor musi coś wyłożyć, więc czas na pytanie skraca się automatycznie. Wreszcie lekki stukot kroków, gwałtownie otwierają się drzwi, nauczyciel wchodzi na katedrę, zatrzaskując drzwi. Wystrzał. Otwiera katalog...

Tej manipulacji Fityka z hakiem nie znałem. Dowiedziałem się o niej z jego ust już w kilka lat później. W każdym razie ciężki obraz trzymał się na obluzowanym przemyślnie haku nieomal cudem. Chodziło tylko o to by spadł w odpowiednim momencie.

Była wiosna, słońce figlowało nad Lwowem, zapełniało naszą klasę światłem, a my garbiliśmy się nad zeszytami. I nagle przyszły ferie, których się nie spodziewałem. Mieliliśmy wspaniałego polonistę, człowiek-iskra, wiele matek się w nim kochało. Pierwsza lekcja. Długo po dzwonku, biegnie on, otwiera drzwi i gwałtownie je za sobą zatrzaskuje. I nagle dwa wystrzały, ostry, jasny, drzwi i ponu-

ry, straszny spadającego obrazu. Garstka wtajemniczonych tylko na to czekała. Reszta pojęła w mig o co chodzi. Rozległ się ryk z 40-tu wyszarpnięty piersi: Szkoła się wali! Szkoła się wali!

Profesor też nie był w ciemności. Chyba też chciał mieć jakieś małe wakacje. Popatrzył na nas i wybiegł. Za chwilę z rozporządzenia dyrektora, zśliśmy do domu. Lekcje wznowiono po kilku dniach, z tym że odbywały się tylko po południu i w innej szkole. Potem przeniesiono nas do nowego gmachu, jeszcze mokrego, a ponieważ zbudowanego na złym terenie (podchodziła tu woda z pobliskiego stawu) pękał naprawdę. Więc go stale naprawiano, ale nowego kawału z zawaleniem szkoły nikt jakoś nie wymyślił.

Spalenie katalogu przez jednego z kolegów było kawałem-niewypałem i było by może się udało, gdyby nie woźny. Woźni szkolni wiedzą więcej o wielu uczniach niż sam dyrektor. Lekcje zaczynały się o 8-iej rano, ale tak uczniowie jak i profesorowie przychodzili wcześniej o kilka czy kilkanaście minut. W danym dniu jeden z uczniów przyszedł już o 7-iej, poszedł do sali, gdzie były katalogi i zabrał jeden dla naszej klasy. Tyle woźny widział. Tenże uczeń ubrał płaszcz i wyszedł z gmachu, co było wydarzeniem niecodziennym. O 8-iej zaczęła się lekcja i profesor poprosił któregoś z uczniów, by poszedł do sali konferencyjnej po katalog klasowy. Ten wrócił, oznajmiając, że katalogu tam nie ma.

Zrobił się ruch i powiadomiono dyrektora. Woźni odpowiedzialni za porządek, opowiedzieli o manipulacjach kolegi X. Była zima, klasa opalana była piecem starego typu. W zetknięciu z palącym się węglem katalog zamienił się w garstkę popiołu. Dlaczego to zrobił? Uczeń X, był krnąbrny i lubiał stawiać się nauczycielom. W dniu poprzedzającym spalenie katalogu, został w nim zapisany, że zachowywał się nieodpowiednio. A ponie-

# PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

## JAKIEGO SPRZEDAWCĘ WOLIMY?

Wiele z nas na pewno zna uczucie obawy przed sprzedawcą czy sprzedawczynią w sklepie. Czasami kupujemy coś co jest nam nieprzydatne tylko dlatego, że wyraz twarzy subiekta był niezadowolony lub wręcz wrogi. Kiedy indziej znowu spotykamy się z tak wielką siłą perswazji ze strony sprzedającego, iż wszedłszy — powiedzmy: po kapeleusz — wychodzimy z wózkiem dziecięcym i stolnicą. Aby temu zapobiec, powstała ostatnio w Ameryce specjalna organizacja, której zadaniem i celem jest nauczenie sprzedającego nie tylko grzeczności, ale i tego, że „kupujący wie najlepiej czego chce“.

Główną „wychowawczynią“ jeśli się można tak wyrazić — rzesz amerykańskich sprzedawców jest niejaka Mona Ling. Jej pełny tytuł brzmi: „Doradczyni w sprawach porozumienia z klientami i dobrej sprzedaży“. Mona Ling napisała na ten ważny temat podejścia do nabywcy przeszło sześćdziesiąt książek, broszur i artykułów. Niektóre z jej książek, rozechwytywane przez właścicieli przedsiębiorstw, noszą takie na przykład tytuły: „Jak podnieść wydajność sprzedaży?“, „Jak szkolić managerów?“ I wreszcie — tytuł najsugestywniejszy: „Chcesz mieć większe dochody — zatelefonuj do Mony Ling“. Poza tym panna Ling z czysto amerykańskim rozmachem, intensywnym programem i wielkim opanowaniem wykładanych przedmiotów — prowadzi stale dwudniowe kursy dla sprzedawców, na których zajmuje się już nie tyle grzecznością w stosunku do nabywcy, ale tym, jak sprzedający winni sobie poradzić z klientem w każdej, najbardziej nawet nieprawdopodobnej sytuacji. Inne kursy, które prowadzi Mona Ling, już dłuższe, bo tygodniowe — mają na celu nauczenie podejścia do klienta w ten sposób, by cała transakcja kupna-sprzedaży odbywała się w sposób taktowny. Dlaczego taktowny? Otóż panna Ling

sądzi, że dla niedoświadczonego sprzedawcy moment wystawienia rachunku, czy brania pieniędzy z ręki do ręki — są momentami ambarasującymi. „Czasami wydaje się nam — powiedział jeden z uczniów jej kursu — że rozstając się ze swym groszem kupujący podejrzewa, iż nie daliśmy mu dostatecznie dobrego towaru za jego pieniądze. To, że nie my wyznaczamy ceny i że jesteśmy jedynie urzędnikami danego sklepu, nie umniejsza tej podświadomej pretensji, a tym samym naszego nielogicznego zawstydzenia“. Tak delikatnych sprzedawców panna Ling uczy, aby wyrabiali w sobie przekonanie, iż ich porada w wyborze koloru kołdry, czy też elektrycznego piecyka — jest jakąś ważną sprawą łączącą obie strony, intymnym, estetycznym, gospodarskim i wspólnym przeżyciem. Jest rzeczą ciekawą, że na te krótkie 2-dniowe kursy sprzedawcy zgłaszają się zazwyczaj dobrowolnie, przedtem jeszcze nim zaproponuje je firma, w której pracują. Procent kobiet natomiast na tych kursach jest stosunkowo niski. Dlaczego? „Albo są z instynktu tak doskonałymi sprzedawczyniami i tak zainteresowanymi w swym fachu jakby robiły zakupy dla siebie, albo też są tak zarozumiałe, że nawet na kursach niewiele da się z nimi zrobić“ ... tłumaczy panna Ling. Wedle jej zdania, w handlu, czy we firmie, kobieta jest zawsze większą indywidualistką od mężczyzny. Jej natychmiastowe reakcje sympatii lub niechęci do klienta, decydują często o całym interesie kupna-sprzedaży. Może dlatego kobiet-milionerek jest stosunkowo o tyle mniej od mężczyzn — zastanawia się Mona Ling, oczywiście, milionerek, które same te miliony zarobiły...“

## OPIEKUNOWIE SPOŁECZNI

Zgodzimy się z tym chyba wszyscy, że oznaką społeczeństwa o wysokim stopniu cywilizacji jest jego stosunek do starców, oraz opieka, jaką społeczeństwo nad nimi roz-

waż takich adnotacji było już więcej, postanowił dowód spalić.

I nasz X., zresztą zdolny chłopak, ale nieopanowany, mimo interwencji wysoko postawionych krewnych, został ze szkoły wydany. Co mu nie przeszkodziło w wiele lat później, po przejściu innych szkół, zostać oficerem.

Były też wypadki tragiczne, te nam utkwily mocno w pamięci. Jeden z kolegów zabił się na sankach, zjeżdżając ze wzgórza na Podzameczu. Kolega zastrzelił kolegę przypadkowo, kiedy poszli na polowanie i dla żartu skierował lufę ku koledze, a sądząc, że kuli w lufie nie ma, pociągnął za spust.

I tak wspominając dawne czasy i popijając koniak, który kupilem na statku, dojechaliśmy do Paryża. Tadeusz miał do odebrania kufer w wagonie bagażowym, a ja spieszyłem się zobaczyć krewnych, więc umówiliśmy się na drugi dzień na spotkanie w południe u wejścia do Notre Dame, by potem udać się na obiad do którejś z restauracji w dzielnicy Łacińskiej.

Ucałowaliśmy się z dubeltówki, ścisnęli graby i pospieszyłem z tłumem do wyjścia. Tu czekali na mnie Andrzej z Janką i razem poszliśmy najpierw na kawę i ciastka do restauracji dworcowej, a potem pojechałem do nich. Idąc spać opowiedziałem im jeszcze o miłym spotkaniu kolegi w pociągu. Janka, która znała mych kolegów, niektórzy się w niej kochali, powiedziała: — Stefku, czy jesteś pewny, że to był Tadzio Kabel?

— Oczywiście, jak możesz wątpić. Chyba znam swoich kolegów. Tadek, ten przecież, który ożenił się z tą ładną Zosią, twoją koleżanką.

— Jeśli tak, to rozmawiałeś z duchem. Przecież Tadzio zginął w Katyniu!

**BIBLIOTEKA POLSKA**

**W**

**LONDYNIE**

**NASZA WŁASNOŚĆ**

**NASZ OBOWIĄZEK**

tacza. Ale — nie wyczerpuje to jeszcze całego zagadnienia. W gruncie rzeczy bowiem nie chodzi tylko o to, co i jak wiele robi się dla starego pokolenia, ale — jak się to robi. Można mieć domy starców i opiekę lekarską, przywożone z magistrackich kuchni „jedzenie na kółkach“ i wciąż być daleko od tego standardu, do jakiego każde cywilizowane społeczeństwo winno dążyć.

Sprawy te leżą na sumieniu społeczeństwa brytyjskiego, jednego z najbardziej socjalnie rozwiniętych krajów świata. I tak na przykład w przemysłowym mieście Birmingham żyje z rent starczych 145 tysięcy ludzi, w wieku ponad 75 lat. Do opieki nad nimi władze miejskie mają do dyspozycji około tysiąca opiekunów społecznych. Przed pewnym czasem w prasie angielskiej podniosły się głosy oburzenia co do dysproporcji opiekunów i podopiecznych, wspominając przy tym, że co najmniej połowa tych opiekunów, to wolontariusze, którzy za swój zużyty na tę pracę czas nie pobierają ani grosza.

Samo miasto Birmingham posiada około 16 domów dla starców, a w najbliższych latach dobuduje się nowe. Jeden z wyższych urzędników magistratu Birmingham wyraził zdanie, że budowanie olbrzymich domów dla starców nie spełnia zadania. I tu właśnie dochodzimy do zagadnienia: nie tylko czy się pomaga, ale — jak się pomaga? Otóż wedle opinii tego długoletniego pracownika społecznego — nie należy przesiedlać do bezdusznych choć nowoczesnych domów dla starców ludzi, którzy wstępują w ich progi z własnego, nieraz tragicznego życia, co nagle stało się puste z powodu czyjejś śmierci, niedołęstwa, lub nieuleczalnej choroby. Nie jest wskazane trzymać po dwie starszki w jednym pokoju, chociażby półkój ten był obszerny i słoneczny. Starcom w dzisiejszym zagonionym świecie trzeba dać namiastkę własnego domu, który musieliby opuścić: pokój chociażby niewielki, ale własny, kanarka, kota czy nawet psa, którym tak bardzo przeciwne są wszystkie instytucje charytatywne na całym świecie. Lepiej nie budo-

wać opływowych w kształtach, ale bezdusznych domów dla starców, lepiej umieszczać ich w harmonijnych, szczęśliwych rodzinach, gdzie mogliby się czuć jak u własnych dzieci. Młoda matka, która nie może pójść do pracy zarobkowej, na pewno widziałaby chętnie jakiegoś „przyszywanego“ dziadka lub babkę przy swoim rodzinnym stole za opłatą nie wyższą niż te pieniądze, które wydaje się na starców w „Old peoples homes“. Państwo opiekuńcze dopiero wtedy będzie państwem najbliższym ideału, kiedy martwa litera przepisów ożywiona zostanie prostym zrozumieniem najprostszych ludzkich pragnień.

### ZAMIERAJĄCY TARG MAŁŻEŃSKI

„Poszukiwana: piękna, młoda, niewinna dziewczyna, najchętniej nauczycielka, na żonę młodego architekta poniżej trzydziestki“. Do niedawna co niedzielę rano hinduscy rodzice pilnie studiowali ogłoszenia podobne w treść wyżej podanemu. Ogłoszeń takich bywało nieraz po sześć bitych kolumn w hinduskich gazetach. I oto wreszcie, jako jeszcze jeden znak emancypacji, ogłoszenia matrymonialne, dawane do dzienników przez rodziców, a nie młodych — przestały się wreszcie ukazywać. Ale — mimo nie przyjmowania więcej tego rodzaju ogłoszeń, tradycja w Indiach (trudno umiera i wybieranie partnera małżeńskiego dla syna czy córki jest wciąż jeszcze w tym kraju prerogatywą rodziców. I rzecz ciekawa, nie młodzi mężczyźni buntują się, ale dziewczęta. To dziewczęta chcą nie tylko zobaczyć wcześniej niż w dniu ślubu swego przyszłego małżonka, ale chcą go także wybrać sobie wedle własnego upodobania.

Ale nawet w niedawno zmarłych naturalną śmiercią ogłoszeniach, umieszczanych przez rodziców dawał się także wyczuć pewien powiew zasadniczych zmian. Takie zdanie na przykład jak: „Kasta partnera“ obojętna nie mogłoby się w ogóle w żadnym hinduskim dzienniku ukazać jeszcze 10 lat temu. Dawniej wszystkie dziewczęta były

WOJCIECH STEFAŃSKI

## PRZESADA

KIEDY SŁYSZĘ zachwyty nad wiosną, gdy ktoś zaczyna przy mnie entuzjazmować się odejściem zimy, kiedy kto inny znów mówi o urokach wczesnych kwiatów wiosennych — uśmiecham się tylko z pobłażaniem, jako człowiek już nie tak młody i dobrze w zapasach z życiem doświadczony. Niech kto chce wysławiać pochwały tej zawrotnie przereklamowanej pory roku — ja wiem, co przynosi ona dla mnie i dla milionów mężczyzn, którzy lekkomyślnie włożyli kark pod jarzmo małżeńskie. Przynosi szereg dni niewygody i poniewierki, a poza tym mnóstwo dodatkowej i zupełnie — moim zdaniem — zbędnej pracy.

Weźmy chociażby rok bieżący. Ledwie rozwinęły się w ogródku hiacynty, które, klnąc pod nosem, umieszczałem jesienią w ziemi w charakterze cebulek, ledwie paki tulipanów zaczęły się formować w stulonych liściach, ledwo temperatura podskoczyła gdzieś w okolicy 15 stopni Celsjusza (jak wszyscy wiedzą, jest to jedna z najbardziej niedogodnych klimatycznych sytuacji dla człowieka, gdyż zaczyna pocić się w płaszczu, ale marznie w dalszym ciągu bez płaszcza), a już

opisywane jako niezwykle piękne. Ostatnio nawet w druku zaczęły okazywać swe prawdziwe oblicza: „Nieładna, nosi okulary, ale dobra kucharka“, lub też „przystojna, z lekką wadą biodra“.

A jednak dla młodych Hindusów, przebywających zagranicą czy to na studiach, czy na stanowiskach — zaprzestanie tego drukowanego targu na małżeństwo jest prawdziwym zmartwieniem. Ci młodzi ludzie z konserwatywnych domów wciąż jeszcze wolą żonę wybraną przez ojca, żonę, która by była przysłana do kraju ich zatrudnienia, jak niezbędny mebel domowy, a nie czujący człowiek. Ale i to zapewne zmienią się z wolna. Bunt młodej hinduskiej kobiety jest coraz silniejszy.

K. E.



# Z TĄ WIOSNĄ

żona zaczyna coś napomykać o wiosennych porządkach — i, co gorsza, o wiosennych pracach w ogrodzie.

— Kobieto, opamiętaj się — mówię. — Co roku mamy tę samą historię. Toż to jakieś sezonowe szaleństwo! Sama namiętnie zaczynasz myć, czyścić, prać zasłony i pokrycia, pokrywać linoleum rozmaitymi pastami, na których potem przez kilka miesięcy człowiek ślizga się, jak na lodzie, a mnie wyrzucasz do ogrodu, gdzie — szcękając zębami — na przenikliwym deszczu staram się przewracać łopata zbite, wilgotne bryły gliny. Co komu z tego przyjdzie?

Ale szkoda każdego słowa! Jak w starożytnej Grecji w czasie Dionizjów kobiety opanowywał szal bachiczny, tak nasze panie z wiosną łogarnia szal porządków. Z głowami, szczelnie owiniętymi w chustki, z arsenałem szczotek, odkurzaczy, drapaków i sukien wszelkiego rodzaju, rozmiarów i wagi, miotają się w czterech ścianach naszych mieszkań, wydając tylko od czasu do czasu ostrym, nieswoim głosem urywane, szczepliwe rozkazy:

— Przesuń tę szafę! Dalej, dalej, nie widzisz, że nie mam dosyć miejsca?

— Przynieś drabinę i zdejmij firanki! Ale już! Nie mam całego dnia, żeby na ciebie czekać!

— Masz tu sukna i wyfroteruj przedpokój! Ale przyzwoicie, nie tak po swojemu!

Co ma w tych warunkach począć nieszczesny mężczyzna? Oglupiały, zagubiony w czterech ścianach własnego domu, który jeszcze wczoraj wydawał się wygodną, zasiedziałą przystanią w obcym wielkomięskim świecie, a dzisiaj wyszczerza na niego obce, nieprzychylnie okna, obdarte z firanek, półki, pozbawione książek, szafy, ogołocone z ubrań, poprzesuwane na nieswoje miejsca stoły, biurka, i krzesła, błąka się bezradnie od jednego żoninego rozkazu do drugiego, czując się zupeł-

nie zbyteczny — ba! jeszcze gorzej! — czując się zawadą i przeszkodą w tym rwącym potoku wiosennego szaleństwa. W takich chwilach nawet moknący w strugach wiosennego kapuśniaka ogródek zaczyna mieć swoje uroki — naturalnie, na krótko, bo tylko do czasu, gdy krople deszczu zaczną się wciśkać pod koszulę na karku, a ramiona, otulone w gwarantowany nieprzemakalny płaszcz, zaczną odczuwać podejrzaną wilgoć, rosnącą z każdą chwilą. W takich warunkach jedynym ratunkiem, jedyną ostoją, jedynym miejscem na świecie, gdzie jeszcze wydaje się rządzić zdrowy rozsądek, staje się najbliższy pub, czyli piwiarnia. Tam, nad kufelkiem słodowego wywaru, „wszystko powraca do właściwych proporcji. Katakлизм porządków wiosennych, który zdawał się zagrażać podstawom męskiej egzystencji, staje się nagle normalnym, dorocznym przejawem zwykłych trudności życiowych. Wygnańcy z domowych zacisz wymieniają żartobliwe spostrzeżenia, uwagi i rady.

— Jak tam? Żona doszła już do sypialni z porządkami?

— Nie, jeszcze ciągle jest przy stołowym.

— U mnie weszliśmy już w stadium porządków w piwnicy.

— O, biedaku! Ja — na szczęście — w ogóle nie mam piwnicy.

Ale — jak w każdej dziedzinie działalności ludzkiej — tak i w dziedzinie wymigiwania się z wszechogarniającej fali porządków domowych na wiosnę są mistrze, na których reszta męskiego rodu patrzeć musi z podziwem — no i, naturalnie, z zazdrością. Do takich niedoścignionych wybrańców losu należy niedaleko nas mieszkający Genuński. Zawsze, gdy w okresie domowych porządków uda mi się wyrwać na chwilę pod „Zielonego Łabędzia“ (bo tak się nazywa nasz lokalny pub), zastaję tam Genuńskiego, ubranego jak z igły, jak siedzi z gazetą w ręku nad kufelkiem, albo też wypowiada kategori-

czepowiednie na temat najbliższych losów całego świata. Ostatnio nie wytrzymałem.

— Panie Heńku — pytam. — Niechże mi pan zdradzi tajemnicę: jak pan to robi?

Uśmiechnął się pobłaźliwie, niby nie rozumiejąc:

— Co robię? — zapytał.

— Niech pan nie udaje, że pan nie wie — nalegałem. — Jakim cudem pan najwyraźniej unika brania udziału w domowych wiosennych porządkach? Rozumiem — dodałem pośpiesznie — że nie chciałby się pan tak wielkiego wynalazku pozbywać za darmo, więc całkowicie jestem zdecydowany zapłacić co najmniej dwa następne pańskie piwa.

Ta hojna oferta przekonała go. Kiwnął na mnie palcem, abym się ku niemu pochylił.

— Komu innemu bym nie powiedział — szepnął, — ale panu powiem. Czy jest pan tylko pewien, że tu nikt po polsku nie mówi?

Potoczyłem wzrokiem po znajomych twarzach. Sami Anglicy.

— Nie, proszę pana. Wyłącznie tubylcy. Może pan mówić śmiało.

Mimo tego kategoriycznego zaprzeczenia pochylił się dla pewności jeszcze bliżej i zaczął szeptać.

— Proszę pana, moje odkrycie — jak wszystkie wielkie odkrycia — było zupełnie przypadkowe. Dawno już temu, żona zrobiła mi wielką awanturę o to, że w ubikacji farba odpada ze ścian. „Co ty sobie wyobrażasz? — napadła na mnie — że ja będę w tym domu wszystko sama robić? Astrachański zawsze załatwia wszystkie reperacje i remonty domowe sam, Sewilski także, to samo Erywański — tu wymieniła cały szereg nazwisk, między innymi pańskie — a ty księcia chcesz udawać? Kup pędzel, kup farbę, i jazda do ubikacji!“

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

— No i? — zapytałem.

— No i — jak się pan domyśla — kupiłem pędzel, kupiłem farbę, i zabrałem się do roboty. Tylko — wie pan — w ubikacji mało miejsca, więc najpierw postawiłem otwartą farbę na zbiorniku z wodą, że to blisko będzie przy malowaniu sufitu. Nie pomalowałem jeszcze

pół sufitu, kiedy zakręciło mnie w nosie — pewnie od zapachu farby — i kichnąłem. Jak kichnąłem, straciłem równowagę, chciałem się o coś chwycić i wylałem sobie na głowę całą puszkę farby olejnej.

— Białej? — zapytałem z żywym zainteresowaniem.

— Żeby to białej — westchnął Genueński — mógłbym wtedy chociaż szlachetną siwizną na głowie świecić, dopóki się farba z włosów nie wykruszy, ale farba była zielona.

— Zielona? — zdziwiłem się.

— Jasno zielona — wyjaśnił rzeczowo Genueński. — Żona uważała, że praktyczniej. „Na białym — mówiła — wszystko zaraz znać“.

— Praktyczna kobieta z pani Zofii — zauważyłem.

— Praktyczna, owszem — zgodził się Genueński. — Ale na głowie zielona farba nie robi dobrego wrażenia.

— Zwłaszcza przy kolorze pańskich oczu — uzupełniłem. Jasno niebieski źle idzie z jasno zielonym.

— Fatalnie — potwierdził Genueński — co ja z tym miałem, zanim się całkiem nie powykruszało, pojęcia pan nie ma.

— Terpentyną pan próbował? — zainteresowałem fachowo.

Machnął ręką.

— I terpentyną, i benzyną, i spirytusem! Owszem, trochę puściło, ale zostały ślady. Dużo śladów — westchnął.

— No i co dalej? — zapytałem.

— Do biura, wie pan, musiałem nosić bandaż na głowie. Że to niby wypadek samochodowy mnie spotkał.

— Ale mnie interesuje, jak to wpłynęło na zwolnienie pana z udziału w domowych porządkach — skierowałem rozmowę na właściwe tory.

— A, tak, rzeczywiście — przypomniał sobie Genueński. — Z początku wie pan, to się nawet nie zorientowałem, chciałem sam skończyć malowanie ubikacji, ale żona nie pozwoliła. — „Jeszcze połkniesz pędzel i co będzie“ — mówiła. Taki sarkazm, rozumie pan.

— Rozumiem — powiedziałem z głębokim odczuciem.

— No właśnie. Ale kiedy żona zaczęła przed znajomymi opowiadać jak to ja się do niczego nie nadaję, powiedziałem sobie: „Tak? No to poczekaj“. I kiedy żona chciała, żebym coś w domu zrobił, zawsze naumyślnie robiłem to źle.

— Na przykład — zainteresowałem się.

— No, na przykład w ogrodzie wyrwiałem rośliny hodowlane, a zostawiałem chwasty. Jak miałem zmienić korki od elektryczności, robiłem krótkie spięcie. Takie prymitywne pomyłki, wie pan.

— Długo pan tak musiał? — byłem coraz bardziej zaciekawiony.

Zastanowił się.

— Nawet niedługo. Tak coś ze cztery, pięć miesięcy. I żona stopniowo przestawała się do mnie zwracać. Dzisiaj nawet talerzy mi wytrzeć nie pozwala, bo się boi, że stłukę.

Patrzyłem na niego z głębokim podziwem.

— No, a gdzie to piwo, które pan przyrzekł? — uśmiechnął się skromnie.

Chętnie postawiłem dwa przyrządzone piwa Genueńskiemu i powró-

ciłem do domu z szatańskim planem. Jeżeli Genueńskiemu się udało, dlaczego mnie by się nie miało uda! Wobec tego przy pierwszej okazji, gdy żona poleciła mi przesunąć meble z pokoju do pokoju w ramach kampanii wiosennych porządków, zwałem się ciężko z krzesłem, łamiąc mu dwie przednie nogi. Ale reakcja mojej żony nie godziła się z doświadczeniem Genueńskiego. Spojrzała na mnie z głęboką pogardą i powiedziała:

— Spiełeś się w tym pubie, czy co? Bo na paraliż postępowy za wcześnie. No, to zamiast wizyty w pubie w sobotę i niedzielę będziesz reperował to krzesło.

— Ależ, Jadziu — zaprotestowałem gwałtownie. — Ja nie jestem fachowcem stolarzem. Gdzie mnie do reperacji krzesel!

Machnęła ręką w sposób, uczyniający rozmowę.

— Potrafiłeś połamać krzesło, potrafisz je zreperować! Już ja cię znam! Jak trzeba, to wszystko umiesz zrobić, tylko ci się nigdy nie chce!

W gruncie rzeczy zna mnie doskonale. Zreperowałem to krzesło tak, że — nie chwaląc się — nikt by nie poznał, co mu się przytrafiło. Ale gnębi mnie pytanie: dlaczego to tak jest, że im kto więcej robi, tym więcej dają mu do zrobienia? A jak kto nic nie robi, to mu jakoś uchoździ?

Stanowczo, nie ma sprawiedliwości na tym świecie!

---

Odnowienie prenumeraty na czas  
to najlepsza pomoc  
dla pisma!

---

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-, dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

## LISTY DO REDAKCJI

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁU  
A. SZACHNOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

W swym uroczym, z świetną znajomością przedmiotu opracowanym artykule „Lowea Syren“ (O.B., kwiecień 1970) Antoni Szachnowski poświęca nieco miejsca i delfinom, uważając je za szczególnie inteligentne i towarzyskie zwierzęta.

40 lat temu kręcił się koło wybrzeży Nowej Zelandii przedstawiciel tego gatunku, odznaczający się pięknymi kształtami i zgoła ludzkim rozumem. Czatował na zbliżające się do portu okręty i zanim jeszcze oficjalny urzędnik zdolał osiągnąć statek lub zatławić formalności, sam obejmował jego funkcje, prowadząc właściwą drogę. Cieszył się wielką popularnością. Dzieci „rozmawiały“ z nim z pokładu: odpowiadał swoją swoistą mową w rodzaju gwizdu. Kapitanowie twierdzili, że można mu było więcej ufać aniżeli zawodowemu pilotom. Z czasem stał się czymś w rodzaju „celebryty“ a ludność, obawiając się, aby nie padł ofiarą krwiożerczych rybołówców, zażądała przez prasę i posłów od rządu wkroczenia w tę sprawę. I tak się stało. Parlament nowozelandzki wydał specjalną ustawę, chroniącą białego delfina przed wszelkimi zamachami na jego cenne życie. To pozwoliło mu przez długie lata trwać na posterunku i spełniać swoje filantropijne zadanie.

Łączę wyrazy głębokiego poważania  
Fryderyk Goldschlag

Londyn

## SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o sprostowanie dwóch błędów, które się wkradły do mego artykułu pt. „Okupacja, interwencja czy jarzmo?“ (O.B., nr 70/1217), a mianowicie: pierwsze zdanie pierwszej kolumny na 15 stronie winno brzmieć nie: „Nie można grozić tym, czego jeszcze nie ma, a co może nastąpić“ ale: „Nie można grozić tym, co już jest, można grozić tylko tym, czego jeszcze nie ma, a co może nastąpić“. Drugi błąd na drugiej kolumnie, str. 14, polega na użyciu niezrozumiałego słowa „OSO“. W istocie napisałem w tym artykule słowo „osi“, mając na myśli tzw. ós Berlin-Rzym.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania  
B. Helczyński

Londyn.

W 50-LECIE POWSTANIA WYŻSZEJ SZKOŁY  
WOJENNEJ

Praca zbiorowa pod redakcją płk. dypl. W. Ciechanowicza,  
wydana nakł. oficerów dypl. na obczyźnie.

- Cz. I — tło ogólne, przynosi prace generałów: S. Kopańskiego, W. Stachewicza, K. Sosnkowskiego i Lityńskiego;  
Cz. II — omawia rozwój i pracę Wyższej Szkoły Wojennej, Wyższej Szkoły Intendentury, Wyższej Szkoły Lotniczej i Wyższej Szkoły Inżynierii w latach 1919—1939;  
Cz. III — daje przegląd zakresu i metody studiów oraz imienny wykaz wszystkich słuchaczy do r. 1939;  
Cz. IV — omawia kursy Wyższej Szkoły Wojennej i Wyższej Szkoły Lotniczej na obczyźnie do r. 1946.

Książka jest cenną pamiątką dla wszystkich, którzy byli związani z wyższym szkolnictwem wojskowym i zawiera cenne informacje o władzach wojskowych w Polsce przed drugą wojną światową

Cena £3.10.0 lub dol. 9.00 plus porto

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich w Londynie oraz w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego (skład główny)

JÓZEFAMEKARSKA

WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH  
RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

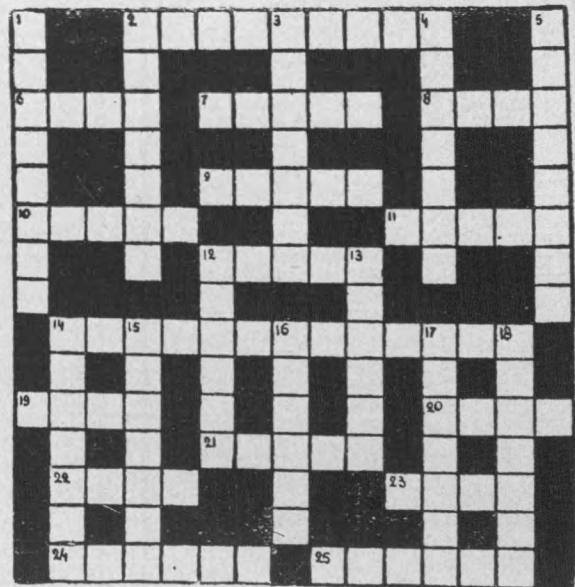
Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

## KRZYŻÓWKA Nr 127/70

## ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 2) owad prosto-skrzydły, według Słowackiego pilnuje grobowca Atrydów; 6) i 8) może spowodować pojedynek; 7) wyprawiał swawole; 9) przyjemność z imowa; 10) tłuszczyk spod Gdańska; 11) wada (wspak); 12) filut; 14) taki sam (dwa słowa); 19) i 20) ogólny widok; 21) z niej to niechętnie; 22) egipski ptak; 23) zamach; 24) ptak z bajki; 25) dawniej postać na dworach (wspak).

**Pionowe:** 1) siedziba koźactwa; 2) padlina; 3) bizantyjska stolica Włoch; 4) ustronie; 5) kochał się w Izabeli; 12) dawny manuskrypt; 13) gwałtowna mowa; 14) już dalej nie pójdziesz; 15) sąsiedztwo; 16) przykład dobrych manier; 17) w niej królowie; 18) ciężar (wspak).



## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 126/70

**Poziome:** 2) efemeryta, 6) i 8) Szekspir, 7) gotyk, 9) perła, 10) dukat, 11) palec, 12) oracz, 14) miech kowalski, 19) Nana (wspak), 20) pęta, 21) mafia (wspak), 22) i 23) rozterka, 24) arkana, 25) Panna.

**Pionowe:** 1) Kasandra, 2) Eskulap, 3) Esterka, 4) Canossa (wspak), 5) Górnicki, 12) ochota, 13) malarz (wspak), 14) Mimerwa, 15) kazanie (wspak), 16) Onufry, 17) szparka, 18) intrata.

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIĄŻKĘ!

# KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS

Rok założenia 1944

66, KENWAY ROAD, Earls Court, LONDON, S.W. 5. Tel. 370 2210

**POLSKA I JEJ DOROBEK DZIEJOWY W CIĄGU TYŚIĄCA LAT ISTNIENIA.** Praca zbiorowa, red. H. Paszkiewicz. 600 dwuszpaltowych stron. 720 ilustracji, 20 plansz, 22 mapy, oprawa płócienna. £7.12.0 \$22.70

**KOMARNICKI T. opr. Diariusz i Teki Jana Szembeka tom III.** Dziennik i dokumentacja za r. 1937. 76/- \$11.00  
Również na składzie tom I i II, cena jak tom III.

**JARRA E., Historia polskiej filozofii politycznej 966—1795,** str. XVI + 338. 37/- \$5.00

**IRANEK-OSMECKI K., Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi, 1939—1945,** str. 234. 40/6 \$5.20

**PISZCZKOWSKI T., Odbudowanie Polski, 1914—1921.** Historia i polityka. Str. 343. 47/6 \$6.20

**BREGMAN A., Najlepszy sojusznik Hitlera.** Wyd. 3-cie, przedmowa A. Ciołkosza, str. 160. 19/6 \$2.50

**PILSUDSKI J., Pisma wybrane, zawierające rozdział o bitwie 1920 roku,** str. 486. 28/- \$4.00

**PAMIĘTNIK KIJOWSKI,** opracowanie zbiorowe, red. prof. W. Wielhorski. Tom I str. 240 23/- \$3.20  
Tom II, str. 292 — 34/- \$5.00  
Tom III, str. 272 — 40/- \$5.00

**WIELHORSKI W., Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej,** str. 144. 23/- \$3.20

**RACZYŃSKI E., W sojuszniczym Londynie.** Dziennik Ambasadora z lat 1939—1945, str. 450. 40/- \$5.80

**BABIŃSKI W., Przyczynki historyczne do okresu 1939—1945,** str. 712. 75/- \$10.50

**GOŁAWSKI M., Polska moja ojczyzna.** 3-cie rozszerzone wydanie podręcznika historii polskiej dla dzieci i młodzieży, str. 173, 100 ilustracji, 9 map, poczet królów polskich, oprawa sztywna. 20/- \$2.90

## S Ł O W N I K I

**STANISŁAWSKI J., Wielki słownik polsko-angielski** 72/- \$9.00

**STANISŁAWSKI J., Wielki słownik angielsko-polski** 72/- \$9.00

**GRZEBIENIOWSKI T., Słownik polsko-ang. i ang.-polski** 38/- \$4.70

**SKORUŻKA S., red., Mały słownik języka polskiego,** 35 tys. haseł, str. 1034. £6.14.0 \$16.50

**MACCALLUM, Nauka angielskiego.** Doskonały samouczek z fonetyczną wymową angielską. 19/6 \$2.70

**FRENKIEL T., Nowy sekretarz polsko-ang. e. i s. i,** 250 listów prywatnych i urzędowych. 21/- \$2.60

WSZYSTKIE CENY Z PRZESYŁKĄ. KATALOGI WYSYŁAMY BEZPŁATNIE.

## O TADEUSZU SUŁKOWSKIM

zbiorowa księga wspomnień pod redakcją Kazimierza Sowińskiego i Tymona Terleckiego

AUTORZY: Maria Dąbrowska, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Tymon Terlecki, Józef Łobodowski, Kazimierz Sowiński, Roman Owidzki, Bohdan Bocianowski, Stefan Jarociński, Wiesław Pisarczyk, Bronisław Przyłuski, Jan Bielatowicz, Wacław Iwaniuk, Tadeusz Nowakowski, Stefan Flukowski, Leopold Kielanowski, Czesław Bednarczyk, Mieczysław Giergielewicz, Adam Czerniawski, Jan Leszcza, Florian Smieja.

Liczne ilustracje. Cena 21/-, \$3.00

Poezje Tadeusza Sułkowskiego:

## T A R C Z A

poemat z rysunkami  
Feliksa Topolskiego

Cena 15/- \$2.50

## D O M Z Ł O T Y

wiersze z przedmową  
Kazimierza Sowińskiego

Cena 15/- \$2.50

## IDEALNY PODAREK DLA NASZYCH NASTOLATKÓW

Niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu  
Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

# W O J T E K

spod

# MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Zamówienia przyjmuje:

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

## OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“,  
czytają Polacy  
w 25 krajach świata.